№ 50. Warszawa, dnia 15 (3) Grudnia 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Na rok 1889.

Po ośmiu latach pracy okrzykiwanie na jarmarku noworocznym zasad i dążeń redakcyi byłoby pośredniem z jej strony przyznaniem, że przez ten czas nie zdołała w opinii publicznej zarysować swego stanowiska wyraźnie. Otwieranie zaś na oścież sklepu, pokazywanie i zachwalanie przechodniom przygotowanego dla nich zapasu towarów nie było nigdy naszym obyczajem. Wiadomo już, jaką niwę uprawia pismo nasze i jakiemi siłami. Więc tylko żegnając jego przyjaciół na krawędzi starego roku wdzięcznością, witamy ich na progu nowego nadzieją, że, jeśli **Prawda** *posiada dotychczasową ich wiarę i uznanie, okażą jej to niewątpliwie dotychczasowem poparciem.*

O wczesne nadsyłanie prenumeraty uprzejmie prosimy. Abonenci przybywający od nowego roku, nabyć mogą dwa pierwsze zeszyty **Antropologii** *za kop. 50 (z przesyłką pocztową kop. 65).*

POLITYKA.

SZCZERE WYZNANIE.

Sejmowi niemieckiemu przedstawiono „Księgę białą," tak zwany zbiór aktów i dowodów dyplomatycznych, które tym razem dotyczą sprawy rozruchów na wschodniem wybrzeżu Afryki. Rodowód ich nakreśliliśmy już dawniej, w szczegóły obecnego położenia i w widoki przyszłości zatapiać się nie będziemy, oświetlimy tylko jeden punkt, wielce znamienny dla polityki niemieckiej. Między innemi owa „Księga biała" zawiera pismo kanclerza do konsula Niemiec w Zanzibarze. Ks. Bismark surowo sądzi postępowanie Towarzystwa afrykańskiego, obarcza je winą rozdrażnienia ludności tuziemczej i wywołania buntu, który, jak wiadomo, skończył się rozlewem krwi kilku urzędników Towarzystwa, jego bankructwem i klęską kolonizacyi niemieckiej. W tej krytyce zaś, ganiąc przedewszystkiem pogwałcenie praw sułtana zanzibarskiego, powiada: „Kwestya, czy wali, który opierał się zdjęciu flagi na domu sułtana (w miejscowości zajętej przez niemców), miał za sobą prawo formalne, czy też nie, nie jest tu rozstrzygającą. Towarzystwo nie powinno było wysuwać na plan pierwszy strony prawnej, lecz, wobec słabego stanowiska zarządu niemieckiego, przez szanowanie wszelkich przesądów narodowych ludności i zręczne traktowanie sułtana oraz jego walich zużytkować ich właśnie dla swych celów. Tymczasem postępowało ono, według mego zdania, raczej energicznie, niż ostrożnie, w tej zaś krainie energia, po za donośnością naszych armat okrętowych, da się przeprowadzić tylko kosztem zbyt wielkich ofiar."

W tych krótkich słowach mamy cały kanon nowoczesnej polityki niemieckiej, który przedewszystkiem zdumiewa swoją... szczerością. Bo rozważmy naukę moralną Reineke-Fuchsa, daną lisiątkom a ogłoszoną całemu światu. Za co on karci kolonizatorów? Czy za to, że potargali stosunki handlowe ludności, że ją ujęli żelaznemi kleszczami, że — jak słychać — opornych bili, dręczyli i tyranizowali? Czy za to, że w Afryce zaczęli tak gospodarować, jak by to było Poznańskie? Czy za to, że naruszyli zwierzchnicze prawa sułtana? Bynajmniej, gromi ich za to, że stosowali tam energię, gdzie potrzebną była roztropność, że popuścili sobie cugli tam, gdzie nie sięgała „donośność" armat, że używali siły za słabej w stosunku do celu. Nie tem zgrzeszyli, że chcieli swoje ofiary tępić, ale tem, że strzelali z działa nabitego za małą ilością prochu, która rozerwała lufę i pokaleczyła kanonierów a nie wysadziła ciężkiej kuli. Oto jest wina Petersa i jego wspólników wobec świeżego d-ra teologii, który otrzymał tę godność za „chrześcianizm praktyczny." Powinni oni byli „uszanować wszelkie przesądy ludności" pół dzikiej, z sułtanem i jego urzędnikami postępować „zręcznie," czyli nie „wysuwać na plan pierwszy strony prawnej" każdego sporu, lecz słowami uznawać ich władzę aż do czasu, kiedy donośność armat już nie okrętowych, ale lądowych rozszerzy „sferę interesów niemieckich." Czytając te rady, zdaje nam się, że widzimy zmartwychwstałego Fryderyka, piszącego do Hertzberga. Gdybyśmy coś podobnego znaleźli między starymi papierami historycznymi, mniejby nas to dziwiło, bo przynajmniej cynizm byłby okryty tajemnicą, ukazałby się nam jako mumia, spowita osłonami archiwalnemi. Ale tu występuje on w nagości świeżej, z rolą jeszcze nieukończoną. Niemcy tak przyzwyczaiły siebie i świat cały do lekceważenia wstydu, że otwierają „Księgę białą" i odczytują z niej wobec wszystkich narodów ucywilizowanych takie sekrety, które zaledwie znoszą światło dzienne.

Po tem wyznaniu nikt chyba nie uwierzy ich masce sentymentalnej, pod którą rozpoczęła się blokada wybrzeży afrykańskich w celu zatamowania handlu niewolnikami. Rzeczywiście, jak świadczy „Księga biała," kardynał Lavigerie, który stanął na czele krucyaty przeciw tej sromocie, napisał list do ks. Bismarka z prośbą o pomoc. Okręty niemieckie wypłynęły pod tym znakiem, ale nie czytał chyba wzmian-

kowanego wyżej napomnienia kanclerskiego, kto sądzi, że one pośpieszyły na usługi „cierpiącej ludzkości.“ Dla Niemiec wszelki platonizm zamyka się w obronie i rozszerzaniu „sfery interesów“ własnych. Temi granicami obejmą również „ludzkość cierpiącą.“ Zresztą domysły są tu zbyteczne. Pomijając twierdzenia urzędowych gazet i natchnionych przez nie książek, których autorowie otwarcie śmieją się z czułostkowości dla niewolników a nawet przepisują nowe sposoby ujarzmiania ich (przez „poddaństwo“), wszakże sam ks. Bismark każe szanować „wszelkie przesądy“ ludności miejscowej i „zręcznie“ traktować sułtana Zanzibaru, a zarówno ta ludność, jak i sułtan nie czują odrazy do handlu niewolnikami, owszem, jawnie lub skrycie mu sprzyjają. Według więc katechizmu polityki niemieckiej należy dogodzić temu „przesądowi.“

Taką moralność apostołują w XIX w., „doktorowie teologii“ *honoris causa*.

PRZEBUDZENIE SIĘ LWA.

Gorzko uśmiecha się każdy, kto znając hr. Badeniego, czytał i czyta nucone wciąż pieśni pochwalne na cześć tego nowego namiestnika Galicyi. Służalczość bowiem i usłużność jego stronników przekracza wszelkie granice godności ludzkiej, a nawet prawdopodobieństwa. Gdyby dzisiaj ożył król Jan III, pierwszy stańczyk, boć rakuskiemu dworowi z pomocą biegał, i wyszedł na ulice Krakowa, to wątpimy, czy równie nizko giętyby się grzbiety, czy równie radośne pienia umieszczałaby urzędowa i półurzędowa prasa.

Źródła owych niezmiernych obłoków kadzidła należy poszukać z jednej strony w chęci stańczyków ustrojenia skroni swego stronnika aureolą nadludzkiej wielkości i sławy, z drugiej natomiast w owczym pędzie ludzi bezmyślnych, którzy korzą się przed namiestnikiem za przykładem zręcznych, a samozwańczych prowodyrów. Zresztą polacy, plemię niestałe i bynajmniej nie grzeszące wytrwałością, niezmiernie lubią wszelkie zmiany. A jeżeli nadto nowość ta przybraną jest w ponętne, choć złudne szatki, wtedy uciecha nie zna ni miary ni kresu. Gdy Zaleski obejmował godność namiestnika, witano go z radością, choć ten i ów z wysoko urodzonych, krzywił się, widząc dorobkiewicza na tak wysokiem stanowisku. Dzisiaj ci ostatni nie mają powodu użalać się, owszem usiłują wmówić w ogół, że nominacya Badeniego jest zwiastunem lepszych czasów, jest świtaniem dobrobytu, jest plastrem, gojącym nędzę galicyjską.

Najnowsze wieści z Galicyi głoszą nastanie lepszych czasów dla niewielu, dla garści wybranych. I tak redaktorem *Gazety lwowskiej* ma zostać p. Kaźmierz Skrzyński, doskonały dziennikarz, jak zapewnia nasze *Słowo*. Lecz to samo *Słowo* wie zapewne wybornie, że ów kandydat posiada jeszcze lepsze świadectwo uzdolnienia na to stanowisko. P. Skrzyński jest rodzonym braciszkiem pani namiestnikowej. Taki jeden przymiot starczy za talenty.

Już w dwadzieścia cztery godziny po objęciu rządów przez Badeniego, usłużni dziennikarze konserwatywni opowiadali prostaczkom nietylko o zamiarach namiestnika na przyszłość, lecz nawet o nieustannej pracy, z jaką on usuwa wszelkie niedostatki i braki, przeoczone przez poprzednika. Z dniem każdym pochwały owe mnożyły się i rosły; każdy krok, każde słowo nowego dostojnika stawiano za przykład i wzór doskonałości.

Tymczasem my w całem dotychczasowem postępowaniu namiestnika widzimy jasno, że on przedewszystkiem upaja się przyjemnościami powierzonej mu władzy. Pod pozorem poznania kraju podróżuje po Galicyi, a wszędzie witają go władze i wysłańcy ludności miejscowej, jako nowego proroka, wszędzie wyprawiają mu uczty i czołami proch zmiatają z przed stóp jego.

Wprawdzie mógłby ktoś zauważyć, że godną uznania jest ta chęć osobistego przekonania się o niedostatkach i stronach ujemnych Galicyi. Na to odpowiedź nader łatwa. Należy tylko wprost spytać, dlaczego namiestnik nie rozpoczął swych objazdów od Galicyi wschodniej, wiecznie opuszczonej i trapionej rozmaitemi klęskami? Dlaczego nie pojechał do Stanisławowa, gdzie wykryto nadużycia gospodarzy miejskich; dlaczego nie zwiedził okolic, wiecznie na wiosnę niszczonych wylewami rzek; dlaczego w okolicach Krosna nie zbadał szacherek handlarzy naftą, którzy bezprawnie wyzuwają chłopów z naftodajnej ziemi, a potem używając tych nędzarzy do roboty, płacą im wódką, trującą i szkodliwą? Tam pole do pracy czynnej dla nowego namiestnika, tam gwałtownie potrzeba wystąpienia osobistego.

Lecz on inną, przyjemniejszą obrał sobie drogę. Udał się do Krakowa, znanego mu wybornie, boć przecie przez kilka lat urzędował w nim jako starosta, aż w końcu nadużycie władzy zmusiło go do opuszczenia tego stanowiska. I kto wie właśnie, czy nie dlatego, że hr. Badeni był tu tylko starostą, i to nie bardzo dbałym o swe obowiązki, czy nie dlatego, że miał tutaj, jako gorliwy stańczyk i nadęty panek, wielu niechętnych i nieprzyjaznych, przyjechał na miejsce swej dawnej niesławy, by upokorzyć i olśnić przeciwników.

Z tego też zapewne powodu gniazdo stańczyków przeznaczonem było na „przebudzenie się lwa.“ Z chwilą bowiem nominacyi Badeniego powołani i niepowołani poczęli zapewniać o jego bezstronności, niemal bezgranicznej. Liczne, bezbarwne mówki, które nominat wygłaszał, mogły służyć za potwierdzenie tych słów. Dopiero na uczcie, wydanej przez Kraków i okolicę celem uczczenia dostojnego gościa, wygłosił mowę, w której streścił swe zamiary. Było to jawne podniesienie przyłbicy. Oto ustęp, jasno i stanowczo wypowiadający wojnę stronnictwu postępowemu w Galicyi: „Silna, zdrowa, należyta i uczciwa administracya, rozumna i pewnym systemem kierowana inicyatywa prawodawcza, ochocza a szczera opieka i pomoc u władz centralnych, użyczana wszystkim rozsądnym, pokojowym, możliwym i odpowiadającym istotnej potrzebie żądaniom kraju, *stanowcze zwalczanie wszystkich gorących, a wrzaskliwych, często zaś tylko z pozoru nęcących, w istocie zaś marnych, a pustych zachcianek i mrzonek*, ustawiczna, a wytrwała troska o oświatę publiczną i nadanie jej *należytego i jedynie słusznego kierunku* — oto mój program.“ Kto zaś wie, że galicyjscy zachowawcy i ich dzienniki nigdy inaczej, jak mrzonkami nie mianują dążeń postępowców, ten łacno z powyższych słów przyszłą działalność namiestnika wypukle sobie przedstawi.

W kilkanaście dni po objęciu przez Badeniego rządów, jego zastępca, prezydent namiestnictwa Loebl otrzymał nominacyę na namiestnika Moraw. Ponownie tedy podniósł się wrzask radosny, że polak został takim dostojnikiem i to na obczyźnie

---

HYMN NIEMYCH.

— Więc jeszcze opowiedzieć ci inną bajkę? — rzekł, pijąc pocałunkami z jej ust ten czar, którego nigdy wypić nie mógł. Dobrze — posłuchaj:

Kiedy przed poczęciem się świata wypełniały przestrzeń tylko mgły, kręcone siłą twórczą w niezliczonych i splątanych wirach, część tych obłoków powoli zgęstniała i utworzyła ocean. W jego wnętrzu powstały rozmaite twory, a między nimi olbrzymi żółw, który wypłynął na powierzchnię wód i spoczął na nich. Jego wypukła pokrywa, obok rozległych płaszczyzn, równych i chropowatych, mieściła wielkie wyniosłości, przepaściste głębiny, obszerne wydrążenia i bruzdy, w które ściekła skroplona z chmur para, tworząc morza i rzeki. Skorupa ta obrosła tu i owdzie szczeciną trzcin, krzewów i drzew, a wreszcie zaroiła się istotami żywemi.

Była to ziemia.

Opasał ją obręczą, zrodzony również w łonie przedwiecznego oceanu, wąż, który usiłując zgnieść żółwia, pękł w nadmiernem wytężeniu i rozlał się naokoło ziemi szerokim, płynnym kręgiem.

Była to rzeka Styks, oddzielająca świat żywych od świata umarłych.

Po za nią spał zastygły i skrzepły ocean, okryty bezbrzeżnym płaszczem lodowym, na którym w miejscach szczęścia lub męczarni osiadły duchy, a w przybytkach napowietrznych—panujący nad nimi i ziemią bogowie. W krainie tej nie było ciepła, tylko światło, nie było woni, tylko barwy.

Język ludzki zwał tę krainę Hadesem.

Za każdym razem, kiedy promienne oko wszechświata przymknęło swoją powiekę, po stromej ścianie skał schodziły duchy ku przystani Styksu, w której oczekiwała na nie łódź Charona.

* * *

Ziemia zatrzęsła się walką ludzi, zabrzmiała okrzykami radości i jękami cierpienia. Ale wiatry zmiotły wkrótce wrzawę dzikich i żałosnych głosów, po której na lekkich skrzydłach wypłynęła i nad pobojowiskiem zawisła sowiooka cisza. Wtedy drogą śmierci do przystani Styksu zeszedł dłuższy niż zwykle rząd duchów. Postacie ich były ludzkie, ale powietrzne, choć nieco mętne. Każdy niósł w ręku swoje serce, niby konchę. Z niektórych serc tych wybłyskiwały różnomierne i różnobarwne ogniki, inne były wygasłe.

Duchy w milczeniu weszły do łodzi, którą Charon odepchnął od brzegu. Gęsta, smolista ciecz rzeki nie nadymała się nigdy falą, nie pokrywała zmarszczkami, nie toczyła w swem łożysku, lecz spoczywała leniwa, nieruchoma, martwa. To też gdy po jej czarnym, błyszczącym, rdzawemi smugami spręgowanym grzbiecie przesunął się statek przewoźnika cieniów, wyorał na niej swem klinowem dnem szeroką bruzdę, która natychmiast zamknęła się za nim w gładką powierzchnię bez żadnej blizny.

Łódź stanęła przy bramie w wysokim murze lodowców, świecących łuną zorzy. Na progu jej leżał i całkiem wejście przegradzał olbrzymi, kudłaty, trójgłowy pies, Cerber, który powstał, zawył paszczami w trzy strony i napełnił swym strasznym rykiem cały Hades. Na ten głos przybiegł Ajakos, klucznik, który powiódł za sobą duchy przez łąkę, porosłą sinemi igiełkami mrozu. U jej skraju przeciwległego w poprzek drogi czterej tytani dźwigali na barkach lodowy, puchem śniegu wysłany tron, na którym siedział w purpurze sędzia umarłych, Minos. Na dole pod jego stopami stanęli dwaj uskrzydleni młodzieńcy, którzy równocześnie zlecieli z dwu przeciwnych stron. Jeden z nich piękny, w łabędziej białości, był posłem nieba, drugi, szpetny, kruczą czarnością okryty — posłem piekła.

Należy objaśnić, że p. Loebl urodził się w Galicyi z rodziców, niemców, chodził do szkół niemieckich, wstąpił w czasach największego panoszenia się niemców do niemieckiej administracyi galicyjskiej, gorliwie zasługiwał się swym zwierzchnikom, także niemcom, i dopiero, gdy ci ustąpili wskutek nadania konstytucyi, zgrabnie i zwinnie począł zasługiwać się przełożonym, polakom, a nawet sam przypomniał sobie, że i on również jest *galicyaninem*. Dość szybko dobił się drugiej, najwyższej godności w administracyi i na tem stanowisku był właściwym wielkorządcą kraju, jako wybornie wtajemniczony we wszelkie tajniki administracyjne. Każdy namiestnik pozostawał na jego łasce i bez jego pomocy nie mógł nic a nic zrobić. A nadto Loebl zawsze przechylał się na stronę centralistów, jako dawnych i starych przyjaciół. To też Badeni, obejmując rządy, położył za warunek, by Loebla usunięto z Galicyi. Zrozumiał, że chcąc rządzić samodzielnie, musi pozbyć się dawnego swego zwierzchnika, z którym za swych krakowskich czasów jako z wiceprezydentem namiestnictwa różne miewał zatargi. Hr. Taaffe, który znowu wybornie zna swych wiernych, nie chciał takiemu austryakowi z przekonania, jak Loebl, dać dymisyi. Morawy były wolne, a więc tam przesunięto niewygodnego na razie męża, który przyrzekł, że w przeciągu roku zostanie czechem. Tu musi koniecznie przyjść na myśl Precliczek z *Panny Emilii* Lama, którą wielu zapewne czytało. Ów Precliczek za rządów czysto niemieckich w Galicyi był niemcem, kiedy powiał wiatr nieco przyjaźniejszy dla żywiolu słowiańskiego w Austryi „war eigentlich ein Slave,“ później na krótki czas znowu został synem wielkiej Germanii, dalej „był w samej rzeczy polak,“ aż w końcu po wyjściu ze służby przyznał się do narodowości czeskiej.

Podczas, gdy w Wiedniu radzono nad Loeblem, namiestnik Badeni wciąż jeździł po Galicyi. Ciekawi jesteśmy, jak długo i często będzie jeździł, boć obywatelom podobna zabawa może znudzić się, a wtedy popularność wielkiego męża pocznie gasnąć i płowieć. Taka chwila zaś byłaby początkiem końca obustronnej, wielkiej miłości. Lew zmieniłby się w mysiego króla.

A. Witski.

Z FRANCYI.

Paryż, 8 grudnia.

Sprawy wewnętrzne francuskie i polityka. — Wolność republikańska i reakcyoniści. — Numa Gilly.— Manifestacya 2 grudnia i mowa Boulangera w Nevers. — Uchwała komisyi rewizyjnej.

Pisząc dziś z Francyi nie podobna prawie mówić o czem innem, jak o jej polityce wewnętrznej. Niewątpliwie, kwitnie tu nader bujnie literatura i sztuka, nauka nie leży także odłogiem a trzecia Rzeczpospolita położyła wielkie zasługi na zaniedbanej niwie oświaty publicznej: stworzyła w całości wychowanie początkowe, zreformowała średnie i wyższe. Ale przedewszystkiem wznosi gmachy dla pomieszczenia swych uczelni. Staroświecka Sorbona przebudowana z gruntu; na miejscu zwalonych domostw i ciasnych uliczek kwartału Łacińskiego staje dziś olbrzymi gmach starego Uniwersytetu paryskiego a obok niego stanął już nie mniej wielki budynek Ludwika Wielkiego (francuskie szkoły średnie są zarazem internatami, potrzebują więc wiele miejsca). Wykończono także świeżo nowy, wielkich rozmiarów gmach Szkoły lekarskiej itd. Jeżeli drugie cesarstwo przebudowało Paryż, to Rzeczpospolita go zabudowywa. Na polu Marsowem wznoszą się już olbrzymie rusztowania wystawy a wieża Eiffla strzela wysoko żelaznemi swemi wiązaniami po nad wszystkie szczyty grodu stołecznego. Artyści-malarze pokrywają pysznemi freskami nowe gmachy. Na placach miast francuskich stają pomniki i statuy, wznoszone mężom zasłużonym na różnych polach działalności publicznej. Teraz właśnie przystępuje Rzeczpospolita do święcenia stuletniego jubileuszu pierwszej swej rewolucyi. Utworzono przy Sorbonie osobną katedrę z wykładem historyi tego wypadku, zawiązano Towarzystwo dla badania tej epoki, organizuje się Muzeum, które zawrze w sobie liczne jej pamiątki; mnożą się wydawnictwa i prace jej poświęcone. Niezależnie od przesileń ekonomicznych, nieodłącznych towarzyszów ustroju dzisiejszego, zamożność kraju jest wielka. Zagadnienia społeczne dojrzewają i wciąż torują sobie drogę do nowego ich rozstrzygnięcia... Wszystko to są fakty, o których zapominać nie należy, gdy się rozprawia szeroko, na niewidziane, o upadku Francyi i panującym w niej chaosie. Mimo to jednak, po nad wszystkimi zaznaczonymi powyżej objawami górują dojrzewające zmiany w polityce wewnętrznej.

I zmiany te wreszcie, przeobrażenia czy przewroty nie są jedynie znamieniem rozstroju wewnętrznego, lecz oznaką przekształceń i wzrostu, który powstaje zawsze z ruin i zgnilizny. Dzienniki całego świata z faryzeuszowskim oburzeniem donoszą codzień o nowych dowodach zepsucia, zawichrzenia i warcholstwa, jakie zapanowało w Rzeczypospolitej. Zapominają jednak, że we Francyi prasa posiada swobodę nieograniczoną i ze swobody tej, pozyskanej niezbyt dawno, bo dopiero w r. 1881, korzysta; że panuje tu nieokiełznana niczem wolność najbrutalniejszego napadania na wszystko; że stronnictwa walczące z sobą zawzięcie nie zaniedbują niczego, żeby przeciwnika podkopać, zniesławić i obalić; że słowa wypowiadane z trybuny nie cofają się przed niczem; że życie ludzi publicznych wystawiane jest na widok publiczny, że każdy w niem szpera, ile mu się spodoba i ostrze szpady lub lufa pistoletu w pojedynku są jedynem na to hamulcem. W starciu tem niema powag i spraw nietykalnych a dzieją się takie rzeczy niesłychane, że jeden bednarz, pełniący zresztą obowiązki mera w swojem mieście i posła z departamentu, w którem zamieszkuje, może zawiesić obrady Izby i całą komisyę budżetową pociągnąć przed kratki sądowe miasta, oddalonego o dwadzieścia cztery godzin drogi od Paryża. Proces wprawdzie na razie zostanie, dzięki wpływom rządowym, zwichnięty; oskarżyciel pozbawiony możności wytoczenia swych oskarżeń. Przyznać jednak należy, że gdy Numa Gilly ogłosi nazajutrz w osobnej książce (*Mes Dossiers*) przygotowany przezeń materyał dowodowy, to nie przedstawi w nim faktów niezbitych. I proces sam zresztą został tylko przerwany; przeniesiono go do Paryża i tu przed kratkami sądowemi będzie mógł mer w Nimes udowodnić to, czego mu zrobić nie pozwolono u siebie. W samej Izbie zresztą wciąż zasiada komisya, gotowa w każdej chwili przemienić się na trybunał, sformułować oskarżenie i wytoczyć je przed ławą przysięgłych lub sama zasiąść na ławie oskarżonych. Wszystko to nie dowodzi, że Rzeczpospolita składa się z Katonów bez skazy. Nie, nadużycia się dzieją, jak dziać się muszą dziś w społeczeństwie lub w jego warstwach, które doszły do władzy i znaczenia a dojść chcą do używania, do majątku, za którym gonią tu wszyscy na wyścigi. Na

---

Skoro duchy zatrzymały się przed tronem, Minos, wskazując berłem szronowem każdą postać, rozdzielił je na dwie grupy: w jedną zgarnął te, które niosły serca z płomykami, w drugą te, które miały niegorejące.

Wtedy do ostatnich przystąpił młodzieniec czarny, otworzył każdemu piersi, włożył w nie z dłoni serce, odkręcił oczy źrenicami ku tyłowi, zapalił nad głową światełko, które rozwidniło wnętrze cienia i powiódł wszystkie drogą ku piekłu, gdzie wiecznie wpatrywać się będą w siebie, niczego więcej nie widząc.

Inny młodzieniec zwrócił się do drugiej rzeszy i poprowadził ją w kierunku nieba. Tuż za tronem Minosa Leta, rzeka zapomnienia, przesuwała swój płynny kryształ bezskaźnej gładkości w ramach zielonej murawy lodowej. Podczas gdy przewodnik szedł powierzchnią zwierciadła wody, duchy opadły w głąb i postępowały jej dnem. Wynurzywszy się z tej kąpieli, stanęły zmienione: nie miały już w swych postaciach mętów żadnych, lecz były tak niepokalanie przezroczyste, że niemal rozpływały się w powietrzu, a płomyki ich serc, teraz brylantowo lśniących i przejrzystych, migały w niem, jak gdyby oderwane.

Nieopodal od brzegu w łagodnem pochyleniu piętrzyły się szerokie schody z wstęg tęczy, wiodące do wspaniałego przybytku w kształcie otoku, którego ściany, ogromnem kołem biegnące, składały się ze zmarzłych kropelek rosy. Nad odkrytym jego wierzchem wisiało wysoko u błękitu słońce, którego strugi światła, rozlewając się po perełkach zrębu, migotały w nich niezliczoną ilością barw i blasków, sprawiając wrażenie, jak gdyby ów przybytek gorzał.

Duchy weszły po schodach aż do jego podwojów, w których ukazał się odziany szatą, z olśniewających gwiazd dzierganą, uroczo piękny i wspaniały Apollo. Wziął on im z ręki serca, położył je w złocistą czarę, odłamawszy przedtem od nich ogniki, które w jego palcach natychmiast wydłużyły się w cieniutkie promienie—i rzucił ten pęk rzęs świetlanych w oko słońca, gdzie one utkwiły i wzmogły jasność przestrzeni. Ruchem migowym duchy skupiły się i utworzyły białawy obłoczek, który wzleciał do góry i utonął w szlaku mlecznym na błękicie nieba.

Apollo wniósł czarę do przybytku, w którym około sierpa księżycowego, opartego na czterech skrzyżowanych strzałach piorunowych i tworzącego tron, stały w dwu łukach bocznych muzy. Usiadłszy, zaczął wyjmować z naczynia konchy sercowe i przykładać je do ucha, wsłuchując się uważnie w ich tajemnicze szumy odgłosów życia. Twarz jego ustawicznie zmieniała swój wyraz, odbijając naprzemiany to radość wesołą, to boleść głęboką, to zachwyt porywający. Nareszcie rzekł z pogodnem wzruszeniem:

— Dziś duchy przyniosły niebu w swych sercach wielodźwięczny chór uczuć, stłumionych na ziemi. Rozbierzcie te głosy i przelejcie je w natchnieniach ludziom żyjącym.

Przy jego słowach źrenica słońca, wpatrująca się w ten obraz ze stropu nieba, jak gdyby zabłysła mocniej i z poza lekkiej, ognistej zasłony, ukazało się zaciekawione i majestatyczne oblicze Zeusa.

Apollo wybrał i podał najbliższej muzie kilka konch, które zaledwie dotknęły jej dłoni, wydały dziwnie rzewny, w westchnienie przeciągnięty, cichy ton. Po przerwie chwilowej odezwały się znowu głosem, który był jak gdyby mową i jak gdyby pieśnią:

„Za pracę naszą dawano nam chleb gorzki i skąpy, który oblewaliśmy łzami w milczeniu ust głodnych, ażeby go nie postradać. Umarliśmy z niedoli, ukrywszy jej tajemnicę w sercach naszych.“

Konchy umilkły. Apollo wydobył inne i wręczył drugiej muzie.

I te, na podobieństwo poprzednich, brzmiały:

„W duszach naszych przebywały widma czarowne i świeciły jutrzenki myśli, które

o jednak są w ędzidła, jest niekrępowana niczem kontrola, jest zresztą cały obóz antyrepublikański, który czyha na każdy błąd, na każdy fałszywy krok, na każde nadużycie swego przeciwnika.

Ten obóz antyrepublikański jest siłą i odegrywa dziś rolę opozycyi radykalnej. Na ograniczenie swobód panowie klerykaliści, royaliści, monarchiści, bonapartyści skarżyć się nie mogą—krzyki zaś ich przypominają często tego niedźwiedzia, który ryczał, gdy spadała nań gałązka, a uszy tulił gdy dąb cały na niego się zwalił.

Krzyki takie podnoszono naprzykład, kiedy Rzeczpospolita zaprowadzała świeckie wychowanie początkowe, niezależne od nadzoru księży proboszczów i kongregacyj zakonnych. Zgroza nie znała granic i miary na to wtargnięcie państwa i nauki niezależnej w dziedzinę klerykalnego monopolu, która bynajmniej do takiego zmonopolizowania nie nadawała się. Nie poprzestano zresztą na protestach, lecz korzystając z osławianej wolności republikańskiej, założono w każdej gminie naprzeciw rządowej szkoły świeckiej — szkołę, utrzymywaną przez braciszków lub siostry — i Rzeczpospolita, bijąca z urzędu czołem przed wolnością, zezwoliła na to. W imię tejże wolności założono mnóstwo szkół średnich katolickich, otworzono parę uniwersytetów katolickich, ba! nawet katolickie szkoły agronomiczne i techniczne. A robiono to, narzekając głośno na ucisk. Nie ograniczono się jednak do współzawodnictwa w wychowaniu publicznem. Za trzeciej już Rzeczypospolitej powstało mnóstwo instytucyj i zakładów katolickich, dobroczynnych i innych. Znalazły się składkowe fundusze; pobudowano w samym środku Paryża bardzo wiele gmachów katolickich, które są bastionami porządku anty-republikańskiego; na najwyższej zaś wyniosłości Paryża, na górze Montmartre, buduje się ze składek (gminy różne i osoby prywatne zakupywały nawet płyty kamienne) olbrzymia bazylika pod wezwaniem Serca Jezusowego (l'Oeuvre du Sacré Coeur de Jesus); wieżyce tej twierdzy kościelnej wybiegać będą po nad wieżę Eiffla. Katolicy, a są oni zarazem monarchistami, wkroczyli także na pole reform społecznych i stworzyli całą, nader rozgałęzioną sieć katolickich kółek robotniczych, których rzecznikiem jest zdolny niezaprzeczenie i sprawie oddany hr. de Mun. Zorganizowano zresztą wiele innych stowarzyszeń katolickich i monarchicznych. Imię ich legion; dzięki wolności, prowadzi się jawna propaganda w celu obalenia Rzeczypospolitej. Mówi o tem otwarcie słowo i pisze jaknajwyraźniej pióro. Wolnym jest także i ołówek, cała też baterya humorystycznych pism anty-republikańskich ośmiesza codzień i w błocie tarza Rzeczpospolitę oraz wszystkie w niej wybitne osobistości, nie wybaczając nikomu. Katolicyzm, wsparty monarchizmem, jest we Francyi siłą, lubo ukrytą i gdy przeprowadzone zostanie, zapowiedziane świeżo z trybuny ministeryalnej, oddzielenie kościoła od państwa, kościoła bynajmniej nie osłabi, może wzmocni tylko, jak wzmocniła go dotychczasowa opozycya i „prześladowania“ republikańskie.

Wspomniałem o tem wszystkiem dlatego, żeby lepiej uprzytomnić atak, prowadzony obecnie przeciwko Rzeczypospolitej oględnej, oportunistycznej i parlamentarnej.

Atak ten prowadzą zarówno krańcowi republikanie jak i krańcowi konserwatyści. Łączy ich cel wspólny. Oba te prądy nie pozwoliły trzeciej Rzeczypospolitej osiąść mocno, zrobić się spokojną, ponętną i mieszczańską, ku czemu miała i ma wiele skłonności. Gdyby na nią uderzał sam tylko rewolucyjny radykalizm republikański, nie osiągnąłby wielkiego skutku; obóz to bowiem, bądź co bądź, zbyt jeszcze słaby. Kierunkowi temu przyszedł jednak w pomoc radykalizm reakcyjny i dwa te prądy działają teraz łącznie.

Wobec tych bądź współzawodniczych, bądź skojarzonych prądów, niedawno powstały „bulanżyzm“ odgrywa rolę „trzeciego, który się cieszy z walki dwu innych.“ Pod sztandarem swym gromadzi on pewną część niezadowolonych zarówno z radykalnego, jak i reakcyjnego obozu. Dąży on do wytworzenia nowego stronnictwa „narodowego,“ w któremby znaleźć się mogli zarówno dzisiejsi republikanie, jak i wczorajsi monarchiści. Na kierunek ten zdają się zgadzać niektórzy monarchiści, co wypowiedział niedawno jeden z przywódców stronnictwa, margrabia de Breteuil (w Marsylii). Niektórzy orleaniści i bonapartyści popierają Boulangera z niechęci do rządu obecnego i w nadziei, że sami będą mogli skorzystać z zamieszania. Nie wszyscy jednak ulegają złudzeniu. Od czasu zresztą, jak w Izbie utworzyła się unia stronnictw monarchicznych, złożonych z orleanistów, rojalistów i bonapartystów, pojedyncze grupy reakcyjne przestały zajmować się wyłącznie interesami swych pretendentów, lubo ci ze sceny bynajmniej nie zeszli. Od lat już paru w łonie tej unii Paweł Cassagnac starał się stworzyć nowe stronnictwo „solucyonistów,“ któreby dążyło do likwidacyi istniejącego republikańskiego porządku na rzecz czyjąkolwiek, byle nie Rzeczypospolitej.

Otóż taki likwidator zjawił się w osobie Boulangera. Nie zrywał on otwarcie z monarchistami, owszem nawoływał ich do wejścia w kadry stronnictwa narodowego, postawił zaś program radykalnej zmiany istniejących form republikańskich i oskarżył parlamentaryzm, jako ustrój polityczny o przyczynę wszystkich dotychczasowych niepowodzeń, zastoju i nieporządku. Dla podjęcia reform na szerszą skalę, zażądał rozwiązania Izby obecnej i zwołania osobnej konstytuanty, którąby dała Francyi ustrój bardziej zgodny z jej potrzebami i charakterem... Od pierwszej chwili przystała do Boulangera grupa republikanów radykalnego odcienia, jak Rochefort, Laguerre, Naquet i wielu innych, widząc w jego programie śmiały krok naprzód ku zradykalizowaniu obecnej Rzeczypospolitej.

Większość atoli republikanów oskarżyła Boulangera o zachcianki dyktatorskie, o zmierzanie do cezaryzmu, o umizgi do monarchistów. Dla zaprotestowania właśnie przeciwko tym dążeniom odbyła się 2 grudnia, jako w dzień zamachu stanu Napoleona III, wielka manifestacya republikańska w Paryżu.

Urządzenie obchodu wzięła na siebie paryska Rada miejska, więc przyłączyły się doń radykalne grupy Izby, nawet rząd sam. Dnia tego o godzinie 1-ej w południe zebrały się przed Ratuszem liczne gromady, stowarzyszenia i delegacye, a niosąc wianki z nieśmiertelników, pociągnęły do grobu Baudina, na cmentarzu Montmartre.

Widziałem cały korowód, umieściwszy się na bulwarze Sewastopolskim, niedaleko Ratusza. Nie wiem, ile osób wzięło w nim udział, podawano bowiem cyfry najsprzeczniejsze; tyle mogę powiedzieć, że stałem pięć kwadransów na jednem miejscu, póki cały orszak przedemną nie przeciągnął i dodać należy. że nie szedł bynajmniej wolno, lecz maszerował krokiem przyspieszonym, zajmując całą szerokość ulicy. Największe, wyznaję, zrobiły na mnie wrażenie grupy osiwiałych już „proscrits,“ emigrantów z r. 1852, rannych z 1848 r., którzy krokiem osłabionym podążali za drugimi. Najruchliwszą i najliczniejszą była grupa studentów paryskich, z półtora tysiąca młodzieży, dźwigająca olbrzymi wianek na noszach. Pochodowi towarzyszyły różne okrzyki

---

płoszył lub gasił upiór nocy. Skonaliśmy, nie otworzywszy serc naszych i nie rzuciwszy na świat ich jasności.“

Kiedy śpiewać przestały, Apollo wyjął z czary innych konch parę i oddał trzeciej muzie. Szeptały one:

„Serca nasze były podobne do siebie jako para oczu zawsze jednowidzących i zawsze oddzielonych. Natura spajała je ciągle miłością a świat rozcinał gwałtem. Odebrał im mowę, ażeby nie skarżyły się na swą krzywdę. Zamknął dwa wulkany i kazał im służyć za swe piece do ogrzewania jego przesądów. Nigdy też lawa ucząc nie wypłynęła z nich szerokiem ujściem, tylko dymiła się wązkiemi szczelinami.“

Ucichły. Apollo powierzył czwartej muzie garść konch innych, które przemówiły:

„Kochaliśmy kawałek ziemi, na której stały kolebki nasze i w której spoczywały trumny przodków naszych; kochaliśmy szacowną przędzę ich życia, pamiątki wysiłków zwycięzkich i prac znojnych; kochaliśmy przyrodzone drgnienia warg naszych i ukryliśmy to kochanie w grobach.“

Głos umilkł. Apollo podał kilka konch muzie piątej.

„Miłość nasza — żaliły się one — chciała ogarnąć ludzkość całą, spoić ją węzłami braterstwa i obdarzyć równomierną życzliwością. Musiała wszakże zginąć w zamknięciu serc marzących, gdzie ją z wyciętym językiem uwięziła nienawiść w rodzinie człowieczej.“

Skoro Apollo rozdał muzom z czary resztę konch, które również wylały z siebie w słowach utajone za życia tony, powstał i wstrząsającym głosem zawołał:

— Mądry i sprawiedliwy duchu, który od wieków i na wieki przenikasz ciało wszechświata, wysłuchaj hymnu oniemiałych.

Oblicze w źrenicy słońca wychyliło się jeszcze wyraźniej a jednocześnie ze wszystkich konch sercowych wzbił się pieśnią uroczysty a zarazem łagodny chór, w którym już nie można było rozpoznać słów, tylko pojedyncze a zestrojone w przecudną harmonię dźwięki. Kiedy omdlały ostatnie jego echa, Apollo rzekł:

— Muzy moje, powróćcie ziemi, co z jej łona wyszło i czego stracić nie powinna.

Po Hadesie rozległo się znowu wycie Cerbera.

* * *

Cała Grecya drżała w gorączce, oczekując uroczystego dnia, w którym na cześć Apollona odbyć się miało wielkie święto, połączone z igrzyskami i turniejem poetów. Już od paru tygodni porządkowano i zdobiono amfiteatr przed świątynią tego boga w Akcyonie. Ze wszech stron kraju ściągały tam liczne gromady ciekawych, pobożnych, lub natchnionych — jedni z weselem, drudzy z nadzieją rozrywki a inni z niepokojem rojeń o sławie. I niedziwnem było wzruszenie powszechne, bo gody te odbywały się tylko raz na trzy lata.

Wybierało się na nie wielu poetów a między nimi także Oligos, który zwykł twierdzić, że wszystkie muzy są jego natrętnemi kochankami i który znudzone próżniactwem i rozpustą bogaczki ateńskie łechtał do uśmiechów lub rozczulał do łez swymi wierszami. Zachęcony ich namową, przygotował on na popis długą pieśń o miłostkach Herkulesa, które dały początek znakomitym rodom.

W przeddzień wyjazdu młody jego niewolnik od rana czyścił obfity zapas szat i obuwia. I on marzył o świętym obchodzie, na który miał towarzyszyć panu, i jego duszę przenikały jakieś nieokreślone dreszcze, a tak one nim owładnęły, że wypuścił z rąk sandał, którego rzemyki pociągał farbą karminową i utonął w bezwiednem zamyśleniu.

Wieczór zaczął osypywać ziemię zmierzchem, na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, jak srebrne gwoździe na tarczy Zeusa — a niewolnik wciąż dumał. Nagle zdało mu się w półśnie, że usłyszał szum spadających

i wiwaty; podrzucano kapelusze i czapki muzyki grały „Marsyliankę.“

Rząd—pisały następnie dzienniki monarchiczne — nie wahał się, w obawie przed Boulangerem i opozycyą, zawrzeć sojuszu z rewolucyą i komuną, która 2 grudnia w pełnym komplecie wyszła na ulicę i postępowała pod osłoną i protekcyą jego agentów. Ciekawe było istotnie widowisko tych czerwonych wianków i czerwonych nieśmiertelników, prześladowanych jeszcze w lipcu na pogrzebie Eudesa.

Boulanżyści na tę manifestacyę nie odpowiedzieli milczeniem. Przedtem jeszcze jeden z nich, Laissant, postawił wniosek przeniesienia zwłok Baudina do Panteonu. Ubiegli tedy radykalnych, którzy mieli gotowy już wniosek podobny, żądający przeniesienia do Panteonu nietylko zwłok posła poległego w d. 2 grudnia, lecz i kilku innych wybitnych republikanów. Odbędzie się to 14 lipca w roku przyszłym.

W samym dniu 2 grudnia Boulanger udał się do Nevers, gdzie na uczcie dlań urządzonej miał mowę, lepszą od wszystkich, które dotąd wypowiedział. Wyraził w niej swe zapatrywanie na zamach grudniowy i Napoleona III i oświadczył się stanowczym zwolennikiem Rzeczypospolitej.

Dodam jeszcze, że komisya parlamentarna, której złożono rządowy projekt rewizyi konstytucyi, poszła dalej i uchwaliła: zwołanie konstytuanty, zaprowadzenie *referendum* (tj. plebiscytu), zniesienie senatu i prezydentury w Rzeczypospolitej.

Parisis.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SŁUŻBA FOLWARCZNA.

Zbliżający się nowy rok znowu poruszył nieco (tylko w kolumnach gazet prowincyonalnych) uśpioną sprawę służby folwarcznej. Tułacze ci, odsyłani od św. Michała do św. Jana, od św. Jana do innych terminów, nie mogli ostatecznie doczekać się stanowczego rozstrzygnięcia swego losu. Zapytani chlebodawcy odpowiedzieli, że ich dola jeszcze cięższa, bo muszą sobie dużo krwi napsuć, zanim przyjdą do ładu z tą „krnąbrną hołotą.“ Inni jęli uspakajać „przyjaciół chłopskich,“ twierdząc, że służbie folwarcznej tak jest u nich dobrze, jak u Pana Boga za piecem; a że czasem w przeprowadzce dzieciaki na śmierć pomarzną, żona śmiertelnie zachoruje z przeziębienia, a w nowej izbie woda zamarznie, kartofle skostnieją, to już wina niedbałych, leniwych parobków. Na tem się skończyła *gorąco* wzięta do serca sprawa. Obecnie rozpoczęła się nowa jej doba. W *Gazecie radomskiej* zabrał głos niejaki *Zakryty*—szlachcic naturalnie i to interesowany — tem więc ciekawszy jego pogląd, przedstawiający byt robotnika folwarcznego „w rzeczywistem świetle.“ Możebyśmy mniej przywiązywali wagi do tych słów, gdyby one nie były znamiennem tłomaczeniem się jednego z wielu: „Obywatel wiejski żyje w warunkach ciężkich. Nikomu nie tajno, że te ciężkie dla wszystkich czasy szczególnie dotknęły gospodarstwo wiejskie. Niezależnie jednak od tego parobek dworski musi mieć swoją ordynaryę i pensyę. Czy to będzie *pan* bogaty, czy biedny, dobry czy zły, wypełni warunki umowy zmuszony, bo inaczej służący w środku roku opuści służbę, a prawo nie zmusi go pracować za darmo. W pracy wyzyskiwanym także być nie można, a pisanie o wyzysku dowodzi tylko nieznajomości stosunków wiejskich.“ Otóż niech ci nieświadomi rzeczy zapamiętają raz na zawsze, iż termin noworoczny jest *złem koniecznem* (!), gdyż na wiosnę, latem i w jesieni jest taki nawał pracy, że niepodobna myśleć o przenoszeniu robotników. To są jednak niezbyt silne przyczyny, więc p. *Zakryty* szuka mocniejszych... w zwyczajach ludu, nielubiącego — nowości; z tego względu „najlepsze chęci *panów* nic tu nie zrobią.“ Jeżeli zatem nie można usunąć tak łatwo złego, należy raczej pomyśleć o wstrzymaniu wędrówki robotników z dworu do dworu. Czemuż więc naprawdę nie pomyśli o tem ta strona inteligentniejsza, a więc *pańska* (sic!)? Za ciężko jej myśleć o tem, jak za ciężko dźwigać winę własną, więc ją uznają za *wspólną*. Jednak wręcz przeciwnie mówią słowa obrońcy szlacheckiego i nietylko że nie przenoszą części przewinienia na grzbiet siermiężny, lecz pomimowoli silniej ją ładują na barki „pańskie“: „Zdanie, dające się czasami słyszeć, że wszystko dla mnie jedno, Bartek czy Maciek, bylem miał kim robić — jest fałszywe, dwa razy fałszywe, bo nieludzkie w znaczeniu moralnem i przynoszące stratę materyalną gospodarzowi wiejskiemu. Chlebodawca o takiem pojęciu będzie zawsze spekulantem, nigdy obywatelem...“ Nie żądając nadzwyczajności od służącego, *pan*, zajmujący się gospodarstwem, mając sposobność poznać przez rok człowieka, skoro tylko nie dojrzy w nim wyjątkowo złej natury, powinien dbać o to, aby go dłużej u siebie zatrzymać. A to się da zrobić dobrem, ludzkiem obchodzeniem się, sprawiedliwą oceną pracy, sumienną i uczciwą zapłatą za nią.“ Tylko tyle, a byłaby sprawa niemal załatwioną! Dziś uposażenie parobka na ordynaryi przeciętnie wynosi 110—120 rubli, kawalera na stole dworskim 75—80, tyleż dziewki folwarcznej stołowej. Nic dziwnego, że przy tak nędznem utrzymaniu muszą się ratować kartoflami, które, jak wiadomo, stanowiąc przeważny pokarm, nie wpływają dodatnio na organizm ludzki, pracujący bezustannie mięśniami. Ale i ten produkt nie wystarcza nawet: zwykle parobek otrzymuje pod kartofle nie więcej, niż pół morga ziemi, która mu daje zbioru 15 do 20 korcy. Gdyby zrobić tym pracownikom niewielkie ustępstwo — przeznaczyć przynajmniej po 150 prętów gruntu, mogących wydać 30 korcy; przy 10—12 korcy ziarna, przy mleku, kapuście, fasoli, taki dodatek znaczną byłby ulgą, ale nigdy nie doprowadziłby do dobrobytu. „Odchowanie“ dzieci 10—11-letnich — według p. *Zakrytego* — użytych we dworze do pasania trzody, źrebiąt, cieląt — może zapewnić dobrobyt całej rodzinie.“ Trudno przypuścić, aby autor sam był w gruncie tego przekonania, że kilka złotych datku *odchowanym* dzieciom może takich cudów dokonać. Niemniej ważną sprawą jest zabezpieczenie bytu parobka w starości. Słusznie utrzymuje *Zakryty*, że los takiego człowieka nigdy nie powinien zależeć od dobrej lub złej woli chlebodawców. W braku odpowiednich instytucyj autor radzi „dworom“ zabezpieczać służących swoich w Towarzystwach prywatnych na życie, ale to będzie chyba nie zabezpieczenie starości, tylko bytu młodemu pokoleniu, które po śmierci ojca może odebrać sumę ubezpieczoną. W tym razie więc nie nie pomoże „dobre zrozumienie rzeczy przez obie strony i współudział w opłacaniu składek rocznych.“ Sam autor bezwiednie wytknął bezpodstawność swojej myśli, twierdząc, że parobek przy swem skromnem utrzymaniu nie chce i nie może nawet pomyśleć o tem, a na ofiarność „chlebodawcy, dla wielu przyczyn, z których najważniejsza — bieda, zdobyć się dotąd nie mogą.“ Więc — jedyna ucieczka — Bank włościański, który ma olbrzymich dzieł dokonać. Specyalna instytucya niech myśli o tej klasie, pod której dewizą wy-

---

z góry ku niemu postaci lotnych, że spostrzegł grono pięknych dziewic, które stanęły około niego. Trzymały one w rękach jakieś konchy kroju serc, z których zabrzmiał zgodnymi głosami chór upajającego śpiewu. Bezprzytomny niewolnik oczarowanem uchem chwytał tę niebiańską melodyę, która duszę jego pieściła nieznaną dotąd błogością. Wreszcie zamilkła i widzenie zniknęło. Zerwał się, chciał biedz, puścił wzrok daleko, ścigając mary; nie dojrzawszy ich, wyciągnął ręce ku niebu i tak stężał, bo znowu zdało mu się, że go moc czarodziejska zamieniła w lirę i wygrywa na niej pieśń niedawno słyszaną.

— Dawaj sandały! — krzyknął pan z progu, i niewolnik się otrzeźwił.

Ale już tej nocy nie usnął. Usłużywszy panu w sypialni, wsunął się, jak cień, do jego pracowni, ukradł kawałek papyrusu i siadłszy przy kaganku w swej izdebce, pisał do świtu...

* * *

Wielotysiączny tłum, złożywszy ofiary Apollonowi w świątyni, pospieszył na miejsce igrzysk. Po każdej gonitwie lub zapasach rzucał zwycięzcom garście oklasków. Z kolei rozpoczął się turniej poetów. Wystąpiło czterech: jeden czytał tragedyę, drugi — komedyę, trzeci — treny, opłakujące poległych w wojnie narodowej, czwarty, Oligos — opowieść o miłostkach Herkulesa. Tłum wszystkich obdarzył głośnem uznaniem, ale żadnego uwielbieniem. Ażeby zaś choć w części nagrodzić im zawód, dano każdemu po gałązce oliwnej z gaju świętego. Odznaczenie to wywołało śmiechy i szyderstwa. Oligos, chcąc przycinkom odłamać ostrze zuchwałym żartem, stanął na podwyższeniu i zawołał:

— Nasze utwory wam się nie podobały; ale był tu jakiś lękliwy poeta, który swój płód poronił, a ja go znalazłem. Ten podrzutek zapewne będzie godnym waszej łaski. Słuchajcie!

Zgromadzeni, którzy już z miejsc powstali, usiedli rozweseleni. On rozwinął zwój i czytał.

Z początku oblatywały tłum głośne uwagi, następnie szepty, wreszcie ułożyła się zupełna cisza, cisza tłumionych oddechów.

I głos Oligosa, naprzód drwiący, zwolna poważniał, a wreszcie stał się uroczystym.

Bezimienny poeta śpiewał hymn niemych. W wyrazach, które huczały jak gromy, oślepiały jak błyskawice, lub spadały jak ciepły deszczyk majowy na spieczoną ziemię, opisywał on te uczucia i myśli, które w milionach serc zamierają, nigdy niewypowiedziane.

„Gdyby zebrać razem te zmarnowane krople—mówił w końcu — powstałyby morza, gdyby stopić te iskry, powstałyby słońca, gdyby związać te ruchy, powstałyby potęgi, gdyby skupić te radości, powstałyby szczęścia, a tymczasem człowiek stoi wobec swych losów łaknący, ciemny, bezsilny i nieszczęśliwy.“

Zerwała się burza okrzyków. Z tysiąców piersi buchał ryk zachwytu, z którego ciągle wydzierało się pytanie: kto jest twórcą tego hymnu?

Nikt nie umiał objaśnić i nikt się nie przyznał.

Wtedy tłum po długiej wrzawie postanowił, że uwije wieniec wawrzynowy i spali go na ołtarzu Apollona.

Ruszyła masa ku świątyni, ale u wyjścia zatrzymała się zwarta— zaparło jej bowiem drogę martwe ciało jakiegoś człowieka.

Wkrótce Oligos rozpoznał swego niewolnika, który zmarł nagle.

Kiedy w świątyni Apollona płonął laur nieodszukanego poety, Charon wiózł w swej łodzi przez Styks ducha z sercem gorejącem.

W. Okoński.

stępuje! Z funduszu użyteczności publicznej, tj. sumy przez obywateli ziemskich złożonej i przeznaczonej przez władzę Najwyższą dla Banku włościańskiego, powinna być dawana oddzielna pożyczka dla zagospodarowania się ludziom ze służby folwarcznej do kupna ziemi przystępującym. Bardzo to piękne, ale ten bank dopiero rodzący się powinien posiadać miliony, aby pracownikom, przychodzącym z gołemi rękami, miał udzielać pożyczki. Można z góry przewidzieć, że tego nie uczyni, bo by się to nie zgadzało z interesami instytucyi takiego pokroju. Uderzenie w tę stronę ani sprawy nie rozwiąże, ani zaspokoi sumienia chlebodawców. Najważniejszą podstawą byłoby tu lepsze uposażenie pracowników *w naturze*, co tem samem zapobiegłoby ich nieszczęśliwemu koczownictwu, a chlebodawcom nie przyniosłoby wielkiego uszczerbku. Zanim to nie nastąpi, nie można o żadnych kasach i asekuracych (czynnie popieranych przez samych parobków) myśleć. Czegóż jednak naprawdę ci ludzie mają oczekiwać od „strony inteligentniejszej, a więc *pańskiej*," która *zmuszona* jest spełniać warunki umowy, z obawy, iżby służący w ciągu roku nie uciekł? Niczego — prócz *przymusu* i *zła koniecznego...*

O ZDROWIE.

Inspekcya fabryczna wiele już zrobiła w ciągu dość krótkiego działania; ogrom jednak nadużyć, lekceważenia życia i zdrowia robotników przechodzi siły tej instytucyi. W sam czas więc pospieszyło ministeryum spraw wewnętrznych z projektem przepisów sanitarnych, mających obowiązywać fabryki i zakłady przemysłowe. Oto ich osnowa: We wszystkich izbach fabrycznych powinna być urządzona wentylacya, mieszkania robotników schludne, zdrowo i przewietrzane. Zachowanie czystości troskliwie będzie przestrzegane wszędzie, gdzie się mieszczą kotły, naczynia lub woda. Studnie powinny być zaopatrzone w zręby na półtora arszyna wysokości, z daszkiem, nadto muszą podlegać nadzorowi lekarskiemu. Utrzymane nieporządnie lub z wodą niezdrową będą natychmiast zasypywane. Dla robotników i robotnic zbudowane będą bezpłatne łaźnie parowe, przynajmniej raz na tydzień opalane. Naokoło zabudowań właściciele powinni urządzać kanały ściekowe, oczyszczać je najmniej raz na tydzień, zlewać roztworem koperwasu żelaza i przysypywać wapnem niegaszonem. Wszelkie odpadki z fabryk powinny być odwożone na odległość najmniej dwóch wiorst od zabudowań fabrycznych i wody bieżącej; nadto powinny być wrzucane w doły i zasypywane ziemią na arszyn głębokości. Robotnicy z objawami chorób zakaźnych nie będą przyjmowani do fabryk. Cała ludność robotnicza przynajmniej raz na miesiąc podlega rewizyi lekarskiej. W razie przekroczenia niema mowy o stopniu kary. Przypuszczać więc należy, że będzie to pozostawione uznaniu sędziów; inspekcya zaś fabryczna prawdopodobnie będzie czuwać nad wykonaniem przepisów. Wprowadzenie ich pociągnie za sobą ogromne koszty ze strony właścicieli zakładów, a więc można się spodziewać, że sądowi i komisyi przybędzie sporo pracy. Nasi fabrykanci w tych razach nie uznają własnej woli.

Z. P.

KAZIMIERZ GROCHOLSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Nareszcie...

Nareszcie z piersi tej biednej, skołatanej i bladej staruszki, którą przed stu laty w Wiedniu nazwano dziwacznem mianem Galicyi, spadł ciężki i tłoczący ją kamień. Tym kamieniem, nieczułym na jej jęki i westchnienia, był Kazimierz Grocholski, długoletni prezes Koła polskiego i minister dla Galicyi w gabinecie Hohenwarta, który rządził Austryą od kwietnia do października 1871 r.

Jak wam określić tego męża stanu, którego śmierć wydziera okrzyk: „Nareszcie!" Na zewnątrz przedstawiał się on jako austryak, który przywdział żupan i kontusz, a twarz przyozdobił i wąsem i faworytami. Jego przekonania tworzyły mieszaninę barw: białej, amarantowej, czarnej i żółtej; te dwie ostatnie przeważały tak znacznie, że częstokroć istnienia dwóch pierwszych nawet argusowy wzrok nie dojrzałby z pewnością. Cała zaś działalność polegała na zaciętej walce o utrzymanie, a nawet pomnożenie przywilejów szlachty. Dla niego ostatnie sto pięćdziesiąt lat zupełnie nie istniało. Był to szlachcic z czasów saskich, który sam żadnych ciężarów publicznych nie chciał ponosić, jeno zwalał je na zgarbione barki mieszczan i chłopów.

Tam i wtedy tylko, kiedy potrzeby Austryi wymagały pewnych ofiar, wydobywał grosz z kalety i panów braci do naśladownictwa oględnie zachęcał. Oględnie to robił dlatego, że umiał wybornie zapomocą rozmaitych kruczków prawodawczych brakującą resztę z kieszeni „złe urodzonych" wyciągać. Drugim bowiem płomieniem, przyświecającym jego drodze politycznej, było bezgraniczne, ślepe, wprost nierozsądne przywiązanie do Austryi. Dlaczego? Dlatego, że widział w niej jedyną dzisiaj w Europie, pomimo wszelkich pozorów konstytucyjnych, przyjaciółkę feudalizmu, który zbratawszy się z kapitałem, na rzecz dziesięciu tysięcy szczęśliwców wyzyskuje trzydzieści milionów nieherbowych i biednych.

Szlachetczyzna tedy i austrofilstwo, do obłędu niemal spotęgowane, wypełniały treść duchową tego naczelnika rządu moralnego, utworzonego przez stańczyków. Rozkazywał i wymagał posłuszeństwa dla swego hasła: „Niech będzie, jak bywało dotąd." Żadnych ulepszeń nie zaprowadzał i przeciw wszelkim reformom walczył, bo jeden świeższy powiew wiatru, wpuszczony do zatęchłego kurnika, mógł obudzić i orzeźwić uśpione umysły. A wtedy utworzyłyby się stronnictwo postępowe, silne i karne, które pogruchotałoby gliniane nogi wielkich galicyjskich mężów stanu.

Dzisiaj Grocholski legł w grobie, lecz łudziłby się ten, kto sądziłby, że z nim ustąpił i jego system. Bynajmniej! Rozumie się, że jego następcy, jako młodsi, będą żwawsi i energiczniejsi; lecz i oni pójdą raz już przekopaną drogą. A droga to tak wygodna, usłana synekurami i orderami, tytułami hrabskimi i posadami w radach kolejowych! W jakim więc celu ludzie rozsądni i dobrze wychowani mieliby krwawić sobie ręce przy przeprowadzaniu nowych ścieżyn i torów?

Niech ziemia lekką będzie jego prochom, ale niech z nich dla niej nie wyrośnie taki przewodnik drugi. Może nie widział swych błędów, ale ważyć je muszą ci, którzy je dźwigają.

A. N.

BADANIA NAUKOWE.

MISTYCYZM NAUKOWY.

Przed nami leży właśnie cały szereg rozpraw mniejszych i większych — od czasopisma tygodniowego *the Open Court*, wychodzącego w Chicago, a poświęconego „sprawie pogodzenia religii z wiedzą," aż do niedawno przełożonych na język polski *Zasad filozofii budyjskiej* Olcotta i pracy d-ra Gibiera o *Spirytyzmie*. Jeżeli je razem zestawić, okaże się, że wśród cywilizowanych społeczeństw Europy i Ameryki północnej nurtują od niejakiego czasu szczególne prądy mistyczne, które nietylko nie zmniejszają się w sile, lecz przeciwnie występują coraz szerzej. Skreślenie ich całokształtu, wyszukanie źródeł, oznaczenie dążności — wszystko to jest zadaniem nader ponętnem, niestety jednak, w obecnej chwili niepodobnem do uskutecznienia. Różne te, już zgodne, już wrogie sobie dążności ujawniły się w drobnych broszurach i mało rozpowszechnionych czasopismach, zestawienie zaś tak rozproszonego materyału nasuwa przeszkody nie do pokonania, chociażby z powodu niemożliwości zebrania go. To też mamy zamiar rozpatrzeć tylko niektóre z pośród tych ruchów. Jeden, etyczny, wezbrał zwłaszcza silnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie czyni próby zwartego a partyjnego zorganizowania się pod nazwą „The Ethical Movement" i wyłonił komitet wydawniczy dla szerzenia swych przekonań za pośrednictwem broszur oryginalnych i tłomaczonych. Tymczasem poprzestaniemy na golej wzmiance o nim, odkładając do przyszłości przedstawienie szczegółowe. Natomiast zajmiemy się innym ruchem, który niech wolno nam będzie ochrzcić mianem mistycyzmu naukowego.

Żeby go zrozumieć, należy powiedzieć uprzednio słów kilka o samej nauce. Co stanowi jej istotę? Oto opis faktów i wykazanie ich wzajemnego związku — następczego lub współczesnego. Wszystko, co wybiega po za te granice, wkracza w sferę hypotezy, przedstawiającej przedewszystkiem środek pamięciowy dla objęcia pewnej grupy faktów pojedynczych. Postęp wiedzy ludzkiej polega na wzrastaniu materyału faktycznego, oraz na wytwarzaniu coraz szerszych środków pamięciowych. Ogół hypotez przedstawia to, co możemy nazwać pojmowaniem mechanizmu wszechświata. Odpowiednio do ilości i jakości zebranych faktów, mamy do czynienia z różnemi pojmowaniami czyli systemami kosmiczno-filozoficznymi. Ostatecznie więc postęp umysłowości ludzkiej sprowadza się do gromadzenia coraz nowych faktów i stosownego przekształcania istniejących systemów filozoficznych. W ten sposób pomiędzy wierzeniami jakiegoś botokuda a poglądami Spencera lub Comte'a zostaje rzuconym pomost pośrednich stanów filozoficznych, a „religia" i „pozytywizm" lub „materyalizm" otrzymują znaczenie różnych ogniw tego samego procesu rozwojowego. Właśnie z tego punktu widzenia wypada ocenić i mistycyzm bieżącej chwili. Tłumy, z wyjątkiem bardzo nielicznych kół, trwają jeszcze przy bardzo naiwnym systemie kosmiczno-filozoficznym, niedaleko odbiegającym od fetyszyzmu murzyńskiego, a obfitującym w poglądy animizmu pierwotnego. Tymczasem fakty, zdobyte przez wiedzę nowoczesną, stoją w sprzeczności z rozpowszechnionemi przekonaniami i wykazują całą ich nicość. Życie nowożytne sprzyja niezmiernie rozszerzaniu tego rodzaju faktów. Naturalnie, szkołom w tej mierze przypisujemy jaknajmniejszą wartość. Sądzimy, iż przeprowadzenie przez jakąś okolicę jednej linii żelaznej więcej zdziałać może w tym kierunku, aniżeli założenie kilku szkółek początkowych; te ostatnie bowiem dają w dozie drobnowidzowej zaledwie narzędzia dla zdobycia wiedzy, wówczas gdy tamta niesie ją samą — na przykładzie wykazuje przyczynowe powiązanie zjawisk przyrody. Kraje, najdalej posunięte w cywilizacyi, mianowicie Anglia i Stany Zjednoczone, odznaczają się właśnie niezmiernem bogactwem owych nauczycieli nieżyjących. Powątpiewanie wkrada się do umysłu wyznawców filozofii staroczesnej. Lecz panowanie przez całe tysiące pokoleń poglądów pewnych nie omieszkało pozostawić w naturze ludzkiej odpowiednich sta-

nów uczuciowych; co więcej wywołać i w samym organizmie stosownych śladów, przekazywanych dziedzicznie, jak to ma miejsce względem różnych obaw nieokreślonych — np. na widok głębokiej przepaści. Cóż więc otrzymujemy w ostatecznym rezultacie? Oto pewne poglądy filozoficzno-kosmiczne ulegają rozprężeniu i nawet zanikowi, lecz stany uczuciowe, wytworzone podczas ich panowania, pozostają i szukają dróg dla uzewnętrznienia się, a przyjmując fakty nowozdobyto, usiłują je przykroić według swych wymagań i pożądań. Dzieje się to tem bardziej, ile że nauka nowoczesna bardzo niemiłosiernie obchodzi się z wszelką filozofią. Empiryzm nagi — oto często ostatnie słowo w tym kierunku. Bądź co bądź uznanie względności wywodów filozoficznych z pewnością nie zaspokoi łaknienia, odziedziczonego przez organizm ludzki po czasach bezwzględnej wiary w wysnute systemy. A tymczasem najwybitniejsze twory umysłowości ludzkiej z ostatniej epoki, *Filozofia pozytywna* i *Filozofia syntetyczna*, właśnie ze szczególnym naciskiem podnoszą względność całej wiedzy i głoszą hasła „niepoznawalnego“ lub „pierwszych przyczyn.“ W ten sposób otrzymujemy rozterkę pomiędzy dążnościami nauki nowoczesnej a uczuciami istniejącemi. W tem to tkwi źródło nowoczesnego mistycyzmu, pod jakąkolwiek nazwą on występuje; czy spirytyzmu i teozofizmu, czy etyzmu albo psychizmu. Wszystkie te prądy należy rozważać nie jako uwstecznienia myśli ludzkiej, lecz, przeciwnie, jako przystosowywanie się stanów uczuciowych, odziedziczonych po przeszłych etapach rozwoju, do faktów, gromadzonych przez dobę obecną.

Chcielibyśmy właśnie rozpatrzeć wyniki tego procesu śród kół uczonych. Zwłaszcza Anglia i Stany Zjednoczone, gdzie panuje najskrajniejszy podział pracy na polu wiedzy, a więc i najjednostronniejsze wykształcenie naukowe, zajmują w tej mierze najpierwsze stanowisko. Dość wymienić nazwiska Crookesa, Wallacea, Comte'a i wielu innych. Że mistycyzm łączy się czasami z wysokiemi zasługami w dziedzinie wiedzy, nie powinno nas to bynajmniej zadziwiać, podobnie jak okoliczność, iż osoby, ze wszech stron wykształcone, obawiają się placów pustych lub przestrzeni otwartych. Ludzie pierwszorzędnego imienia naukowego znajdują się śród wyznawców najpospolitszego spirytyzmu, wierzą w głosy i drgania, wywoływane bez udziału jakiejbądź siły mięśniowej lub mechanicznej, w samodzielne i niewyjaśnialne zapomocą znanych praw fizyki ruchy ciał ciężkich, np. podnoszenie się ku górze, w dowolne zmniejszanie się lub wzrastanie ciężkości przedmiotów, w szczególne zjawiska świetlne — słowem, w cały szereg objawów, które tłomaczą działalnością sił świadomych, rozumnych, pozaludzkich. Wiedza ludzka, twierdzą, jest ograniczona wskutek samego ukształtowania organizmu. Jak dla jakiejś ameby nie istnieje cały szereg zjawisk, które odczuwa człowiek, tak samo i ten ostatni znajduje się w podobnem położeniu. Czyż można mniemać, iż znamy i że zdolni jesteśmy poznać wszystkie siły przyrody? Czy mamy prawo twierdzić, że nasze pojęcie o przestrzeni (trójwymiarowej) jest należytem określeniem stosunków pomiędzy zjawiskami? Cobyśmy powiedzieli, gdyby ryba elektryczna uważała elektryczność tylko za jakąś właściwość jedynie swego gatunku? Za pośrednictwem tego rodzaju zapytań i upodobnień mistycy nauki dochodzą do następującego wniosku: jak po za organami ryby elektrycznej istnieje we wszechświecie elektryczność w różnym stopniu skupienia — już bardziej, już mniej napiętym, podobnie i za organami nerwowymi człowieka i zwierząt mogą bytować innego rodzaju skupienia siły duchowej, występujące bądź w postaci analogicznej z ludzką, bądź w zupełnie odmiennej. Krok jeden oddziela nas wtedy od dalszego zapytania: czy zapomocą odpowiednich narzędzi i metod nie możnaby wejść w stosunki z temi „duchowościami“ transcedentalnemi lub poddać je badaniu naukowemu. Jest to właśnie stanowisko Crookesa, z tą tylko różnicą, iż znakomity fizyk angielski ową „duchowość“ pojmuje według wzorów mocno człekokształtnych i w ten sposób staje w pośrodku pomiędzy naiwnym spirytyzmem a naukowym mistycyzmem. Próbował on nawet fotografować owe pozaludzkie „siły duchowe“ i dla studyów nad niemi wynalazł szczególne przyrządy! Już filozoficzniejsze stanowisko zajął niemiecki uczony Preyer. Ten zupełnie rozstał się z antropomorfizmem badacza angielskiego i przyjmuje jedynie duchowość nieosobową. Jego zdaniem, życie mogło powstać jedynie z życia. Zamiast więc wyszukiwania przyczyn, które wyłoniły z martwej materyi organizowaną, stawia on kwestyę w odwrotny sposób. Ciała nieorganiczne globu ziemskiego są raczej jedynie osadem po życiu organicznem, którem żyła nasza planeta, organiczne zaś — jedynie bardziej napiętem jego skupieniem...

Inni poszli jeszcze dalej. Za przykład w Europie posłużyć może Avenarius, zdaniem Wundta jedna z najwybitniejszych i najbardziej naukowych powag na polu filozofii w Niemczech. Dotychczas wydał on niewielką broszurkę doktoryzacyjną, gdzie próbuje skreślić „krytykę czystego doświadczenia,“ jak Kant — „czystego rozumu.“ Między innemi usiłuje wynaleźć prawo, rządzące rozwojem myśli filozoficznej i w tych poszukiwaniach dochodzi do wniosku, iż jest niem tak zwana „zasada najmniejszości,“ polegająca na tem, iż umysł ludzki, na każdorazowej podstawie faktów, usiłuje pojąć wszechświat z jaknajmniejszym wydatkiem energii nerwowej. W końcu wypowiada zdanie, iż systemem filozoficzno-kosmicznym, który w niedalekiej przyszłości najbardziej odpowie tym wymaganiom, będzie monistyczny, przyjmujący czucie — „Empfindung“ — za podścielisko zasadnicze wszechświata, „materyę“ zaś i „duchowość“ — jedynie za szczególne a właściwe człowiekowi sposoby ujmowania tego pierwiastku podstawowego. I oto w *The Open court* znajdujemy już dalsze wnioski z tego twierdzenia. Nie chcąc nagromadzać jednakowo brzmiących przykładów, zatrzymamy się jedynie nad artykułem niejakiego p. Higginsa: *Indywidualność atomów i cząsteczek* (w nr. 42 z r. b.). Oddzielny atom stanowi dlań swego rodzaju jestestwo czuciowe — „bios.“ W ten sposób „życie“ nie miałoby początku, byłoby wiecznem, jak to materyaliści twierdzą o materyi. Dzięki określonemu skupieniu tych zasadniczych pierwiastków życia, powstawałaby wyższa jego forma — wyjawy psychiczne. „Wreszcie, czyż cały wszechświat nie mógłby przedstawiać zwartej jedności żyjącej — szczególnego *biosu*, przewyższającego na tyleż zbiór ciężących ku sobie ciał kosmicznych, ile ludzka jedność żyjąca przechodzi, pod względem uzdolnień, komórki żyjące, i naczynia i ciałka naszego fizycznego ustroju?“ Czasopismo amerykańskie na każdym kroku wspomina z najwyższym szacunkiem wyklęte w pewnych kołach imiona — Ribotów, Richetów, Spencerów, Darwinów itd., przyjmuje w całości teoryę rozwojową i na zasadzie ich badań dochodzi do odbudowania — teizmu osobowego, lubo nie człekokształtnego. Bo zaiste, czemże jest innem ów „bios“ wszechświatowy?

Skreśliliśmy cały szereg doktryn, usiłujących pogodzić już „wiedzę“ z „religią,“ już fakty nauki tegoczesnej przykroić do wymagań pewnego rodzaju uczuć. W rzeczywistości jednak te wszystkie próby, jakkolwiek niektóre z nich roszczą sobie pretensyę do obrony stanowiska zachwianej filozofii teozoficznej, w gruncie rzeczy nie wiele mają z nią wspólności. Weźmy np. wspomniany tygodnik z Chicago, a w nim artykuł Higginsa, przyjmujący teoryę Darwina, opierający się na rozwojowej doktrynie i wynikach psychologii doświadczalnej. Jakaż spójnia istnieje między nim a filozofami w rodzaju pp. Pawlickich, Morawskich i in.? Jest wprawdzie deistą, lecz jak odmiennym! Ale po co sięgać tak daleko! Zatrzymajmy się nad najbardziej nienaukowymi a najwięcej skłonnymi do antropomorfizmu spirytystami, widzącymi w „duchowości“ wszechświata jedynie sobowtorów ludzkich po odłączeniu się ich od powłoki cielesnej. „Duchy“ te są niezależne, istniały już od wieków, przez kolejne wcielania się mogą dosięgać coraz większej czystości itd. itd. Pojęcia zmazy pierworodnej, nagrody i kary i inne zupełnie są wyrugowanemi. Mamy tu raczej przed sobą dogmaty budyzmu, niż jakiej innej doktryny teozoficznej. W pojęciu zaś nieosobowych „duchowości“ niknie i to piętno dawnych czasów Europy. Słowem, widzimy ruch zupełnie nowy, który, jakeśmy rzekli, wynikł z przystosowywania się uczuć natury religijnej do wymagań wiedzy nowoczesnej. Z tego to stanowiska należy oceniać wszystkie naukowo-mistyczne prądy — od najpospolitszego spirytyzmu. Liczba spirytystów w Paryżu, według Gibiera, wynosi aż 200,000; w języku angielskim wychodzi do 27, hiszpańskim — do 36 czasopism tego kierunku. Wszystko to są świadectwa rozpadu staroczesnej filozofii kosmogonicznej. Prądy rozkładowe odlewają się w bardzo różne formy, stosownie do wykształcenia wyznawców — od nieokrzesanego antropomorfizmu „sił duchowych“ aż do „biosu“ amerykańskich mistyków nauki. Wszędzie jednak nie oznaczają one uwstecznienia myśli ludzkiej, lecz są dowodem opuszczania starych stanowisk i wyszukiwania nowych, zgodniejszych z faktami życia tj. techniki i wiedzy teoretycznej.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

6 grudnia.

Jak dziś niemcy określają zadanie filozofii; Riehla krytycyzm filozoficzny. — Dzieje wpływu kulturalnego Niemiec na Francyę. — Najnowsza serya Francosa obrazków na tle galicyjskiem. — *Nero* Ecksteina.

Niechętnie tylko i zwolna opuszczali niemcy stanowisko w filozofii, stanowisko wydatne, ale niemające dostatecznej podstawy naukowej, do jakiej doszli dzięki systemom Fichtego, Schellinga i Hegla. Naród myślicieli, który, zdawało się, znalazł klucz do zagadki wszechbytu, zepchnięty z wysokości wielkiej owej bańki mydlanej, zrównać się musiał z armią badaczów, postępujących powoli, ostrożnie i sumiennie w zdobywaniu prawdy. Zbawiennym był dla nowej filozofii niemieckiej powrót do Kanta. Krytycyzm raz jeszcze pokonywać musiał metafizykę i dopiero po powtórnej tej walce zabezpieczyć zdołał dla filozofii rozwój prawdziwy, w ścisłym pozostający związku z postępami ogółu wiedzy.

Powrót do krytycyzmu Kanta przygotowywał się w Niemczech przez czas długi. Pierwsza doń inicyatywa wyszła, jak to często bywa, nie z kół zawodowych, a raczej patentowanych, lecz z grona ludzi, oddanych umiejętnościom, a niemających nic wspólnego z uniwersytetami. Barcelloti w swej monografii neo-kantyzmu śledzi postępy tego zbawiennego zwrotu. Wielka w tym względzie zasługa Langego, autora *Historyi materyalizmu.* Otto Liebmann i Jüngen Bona Meyer oświadczają się za Kantem i z całą gorliwością naukę jego głoszą. Wzrasta znaczenie tego kierunku, kiedy

Edward Zeller, wyemancypowawszy się z pod wpływu Hegla, zażądał powrotu do Kanta; nie ślepej wiary w system jego, ale powtórnego podjęcia zagadnień, któremi Kant się zajmował, a które rozwiązać należy poprawniej, na podstawie doświadczeń i zdobyczy naukowych naszego stulecia.

Najnowszą fazę neo-kantyzmu przedstawia profesor Aloizy Riehl, którego dzieło *Der philosophische Kriticismus und seine Bedeutung für die positive Wissenschaft*, zdobywa obecnie dla kierunku tego coraz to więcej zwolenników zarówno w kołach myślicieli, jak wśród publiczności ukształconej. Oto zasadnicze zapatrywanie Riehla. Zarzuca on rozróżnianie istoty rzeczy od zjawisk; cały niedostępny ów świat idei uważa za wytwór rozumu naszego. Nie istnieje też dlań zagadnienie rzeczywistości świata zewnętrznego. To, że czujemy i spostrzegamy świat zewnętrzny, że wraz z nami i tak jak my czuje i spostrzega go mnóstwo innych istot żyjących, jest dowodem realności jego istnienia. Nie myślenie nasze jest pierwotną funkcyą, łączącą nas ze światem zewnętrznym, ani nawet czucie nasze, ale podnieta zupełnie niezawisła od świadomości naszej, gdyż pochodzące wprost ze świata zewnętrznego. Mimo jednak, iż przedmioty spostrzegane istnieją, wiadomość nasza o nich jest względną: poznajemy stosunek przedmiotów do świadomości naszej. Względność tę rozwija Riehl w następstwie, jako monizm krytyczny, teoryę uznawaną też przez zmarłego niedawno Fechnera: to samo, co przedmiotowo jest procesem mechanicznym, podmiotowo stanowi podrażnienie psychiczne; tak więc filozof Riehl schodzi się zupełnie z psychofizykami, opierającymi się na badaniach nauk przyrodniczych.

Posłuchajmy wreszcie, jakie zakreśla zadanie filozofii i w jaki sposób odgranicza ją od nauk poszczególnych. Jest to dziś kwestya paląca zarówno dla filozofa, jak dla przyrodnika. Riehl przedewszystkiem zrzeca się każdo filozofii roszczeń i pozorów wszechwiedzy. Z drugiej jednak strony, wobec rozstrzelenia rezultatów nauk poszczególnych, przypada filozofii rola krytycznego oceniania warunków i granic poznawania wogóle. Ma ona być teoryą ostatecznych pojęć doświadczenia. Psychologia i estetyka nie powinny nadal być traktowane jako działy filozofii, lecz jako umiejętności samoistne. Etyce zaś odmawia Riehl cechy naukowej dlatego, że ona zajmuje się nie faktami *), lecz tendencyami, nie tem, co jest, lecz tem, co być ma. Pojęcie normy, według niego wychodzi po za zakres umiejętności. Słusznie przeciw temu podnoszą, że w takim razie i logika, stanowiąca system norm, nie mogłaby być uznaną jako nauka. Nadmienić jeszcze wypada, że sam zwrot do krytycyzmu o wiele powszechniejszem cieszy się w Niemczech uznaniem, aniżeli program, jaki Riehl zakreśla filozofii nowoczesnej. Przyrodnicy zwłaszcza, którzy gubiąc się głównie w szczegółowych badaniach, najbardziej uczuwają brak teoryi ogólnej, jednoczącej rezultaty tylu ramiennego strumienia wiedzy ludzkiej, zbliżają się bardziej do Spencera i Wundta, którzy niemniej żądają od filozofii krytyki doświadczenia (czyli, jak mówi Avenarius, oczyszczania pojęć doświadczalnych), ale zarazem spodziewają się po niej systematycznego spajania oczyszczonych tych pojęć w ciało teoryi ogólnej, przedstawiającej „die Weltanschauung."

Niepodobna odmówić niemcom pierwszorzędnych zasług około nauki i całokształtu kultury europejskiej — nikomu też nawet z ich wrogów na myśl nie przychodzi uszczuplać im tej chwały. Nazbyt miłe jednak czyni to wrażenie na obcego, kiedy niemcy sami chełpią się swym wpływem. Znana ich próżność narodowa mniej jeszcze razi we frazesach prasy codziennej, dla której szowinizmu można mieć wyrozumiałość. Ale śmieszną wprost staje się, występując w organach poważnych, naukowych, zwłaszcza kiedy z największą pychą kieruje się w stronę, gdzie najmniejszą ma racyę bytu. Oto profesor Teodor Süpfle wydaje o poważnej objętości dzieło p. t. *Geschichte des deutschen Kultureinflusses auf Frankreich*. Wiadomo, że kultura francuska już w wiekach średnich znaczną miała przewagę nad niemiecką; że w wieku XVII wpływ jej stał się tak mocnym, iż samoistne znaczenie cywilizacyjne Niemiec znika wobec niego zupełnie. Lessinga, którego powadze nikt z ludzi ukształconych nie uchybi, dlatego niemcy tak podnoszą, iż wyzwolił on ich z pod wpływu francuskiego; a i on wdzięcznie uznawał za nauczyciela swego francuza Diderota. Ba i główny filar nowoczesnego kulturalnego znaczenia Niemiec, Goethe, oświadczył, iż wielką część własnego wykształcenia zawdzięcza francuzom.

Wpływ Niemiec na Francyę musiał więc, bądź co bądź, być drobnym i skromnym. Süpfle prowadzi jednak swe wywody z szerokością i gruntownością rasowego niemca, zakrywając w ten sposób drobność istotnych rezultatów. Rozpoczyna od chwili, kiedy frankowie osiedli na ziemi gallów i stara się wykazać wpływ niemców na prawodawstwo, wyobrażenia religijne i poezyę epiczną francuzów. Cezar już odróżniać miał zwyczaje germańskie, wprowadzone przez niemców, od pierwotnych zwyczajów celtyckich. W najdawniejszym języku francuskim odnajduje Süpfle 900 słów niemieckich. Stara się dowieść, że wpływ germański występuje przeważnie w życiu państwowem i wojskowości francuskiej, w kościele zaś przeważać ma rzymski. Jeżeli przyznać musi, że podczas wieków średnich główną siedzibą teologii i innych nauk była wszechnica paryska, to dowodzi przynajmniej, że czasami niemcy dochodzili tam do znaczenia, np. Albertus Magnus i Hugo Blankenbury. U schyłku wieku XV pojawiają się we Francyi pierwsze tłomaczenia książek niemieckich: przekład utworu Branta *Narrenschiff*, Eulenspiegla, wreszcie *Pfaff vom Kahlenberg*. Reformacya we Francyi łączy się z nazwiskiem Kalvina nie Lutra; atoli Süpfle chce dowieść, że Kalvin Lutrowi zawdzięcza pobudkę do własnej działalności. W walkach hugonotów po obu stronach używano żołdaków niemieckich; stąd Süpfle wywodzi reformę wojskowości francuskiej. Według niego w tych czasach powstaje nie wygasła do dziś dnia nienawiść francuzów do niemców, jako do heretyków. Dawniej na pierwszym planie była zawiść niemiecko-włoska (cesarsko-papieska), następnie francusko-angielska. Obecnie potęgowała się zawiść niemców i francuzów pod wpływem stosunków dynastycznych. Habsburgowie objęli wraz ze spadkiem po książętach burgundzkich dążenia tych książąt nieprzychylne Francyi. Tak tedy Süpfle początek nienawiści francuzów i niemców wywodzi z reformacyi i ze sporu Habsburgów z Bourbonami.

Przyznaje on, że przez długie wieki francuzi gardzili literaturą niemiecką, a nawet wprost odmawiali niemcom zdolności do wydania czegoś znacznego na tem polu. Jednak Leibnic, a po nim Wolff zdobyli sobie chwałę u francuzów. Z poetów Haller pierwszy cieszył się rzeczywistem ich uznaniem. Trzy pisma: *Journal étranger*, *Gazette littéraire* i *Journal littéraire* stanęły w obronie literatury niemieckiej. Z powieści niemieckich przełożono naprzód Gellerta *Die Schwedische Gräfin*, następnie Wielanda *Agathon*. W r. 1770 już żali się Dorat: „O Germanie, nos beaux jours sont évanouis, les tiens commencent." Wielką zasługę około zbliżenia obu narodów położyła pani de Staël w znanej swej książce *De l'Allemagne*, napisanej z natchnienia prawie. Süpfle opowiada dalej dzieje pism Klopstocka, Lessinga, Goethego, Herdera i Schillera we Francyi; wywody jego mają przeważnie wartość bibliograficzną. Traktuje następnie o wpływie literatury niemieckiej na romantyzm francuski, dalej o działaniu nauki niemieckiej w czasie Restauracyi. Heinemu, jako pośrednikowi pomiędzy niemcami a francuzami, odmawia wszelkich zasług. Süpfle nie dokończył jeszcze ostatniej części dzieła swego; wiadomo jednak, że Niemcy uważają się dziś za dominujących nietylko na polu nauki, ale i w zakresie sztuki, a to dzięki dramatowi muzycznemu Wagnera, który zwłaszcza we Francyi najwcześniej został zrozumianym.

Niespodzianki doczekaliśmy się na polu beletrystyki niemieckiej. Karl Emil Franzos, który swego czasu przedstawiał stosunki galicyjskie w świetle jaknajgorszem i rozpowszechnił dla Galicyi miano „Halbasien," w najświeższym tomie swych opowieści, na tem samem tle osnutych, inne już wobec kraju tego zajmuje stanowisko. Obrazki swe, które łączy pod tytułem „Aus der grossen Ebene," a poprzedza przedmową, gdzie wyraża silną nadzieję, że stosunki galicyjskie, mające się dziś już ku lepszemu, zmienią się w przyszłości niedalekiej, a kultura ogarnie coraz szersze warstwy społeczeństwa. Zajmuje on się głównie zacofaną ludnością żydowską, a w tym względzie trudno mu nawet odmówić słuszności, skoro żali się na dziwaczne, średniowieczne prawie położenie, w jakiem ludność ta pozostaje. Atoli właśnie tym nie wywietrzałym jeszcze cechom „ghetta" galicyjskiego zawdzięcza Franzos materyał do swych niezliczonych obrazków. Poprzestaje on zazwyczaj na uwydatnieniu jednego typu, za pomocą opowiadania, którego nie można nawet nazwać nowelą, gdyż brak mu budowy artystycznej. Takiemi są obrazki jego „Der Geistertödter," „Der Galilei von Barnow," „Der Bart des Abraham Weinkäfer." Wiadomo, że Franzos nie idealizuje „ghetta" i nie stara się okryć go aureolą poezyi, jak Kohn lub Kompert; przeciwnie, wywleka on wszystkie jego brudy, jego prozę, a często—nie bez talentu — tragiczność stosunków. Tak nastrojone są obrazki „Im Cheder," „Wunderkinder des Ghetto," „Lateinische Mädchen." Nie brak mu jednak i humoru. „Nathan sinobrody" obchodzi w wieku młodzieńczym szóste już wesele, korzystając dla widoków materyalnych z łatwości rozwiązywania ślubów małżeńskich u żydów. W rozdziale „Namensstudien" opowiada autor, w jaki to sposób żydzi galicyjscy doszli do dzisiejszych swych nazwisk z łaski komisarzy austryackich.

Ale kiedy wątek „obrazków kulturalnych" wreszcie się urywa, Franzos idzie drogami Sacher-Masocha i opowiada historye nieprawdopodobne, fantastyczne. „Der deutsche Teufel," to syn panującego księcia niemieckiego, który znienawidziwszy stosunki niemieckie, schronił się do Galicyi i tu odgrywa rolę sprawiedliwości na wzór Karola Moora. Ogółem wziąwszy, w ostatnich dwóch tomach opowiadań swych Franzos staje w rzędzie pisarzów znanych w Niemczech p. n. „Ghettoschriftsteller" i nie występuje jako nieprzyjaciel społeczeństwa polskiego.

Smutnym jest dziś stan powieści niemieckiej: autorowie rozgłośni tworzą rzeczy długie, rozwałkowane, każdy według utartej swej maniery; młodzi nie piszą jeszcze utworów dojrzałych. Typową dla dzisiejszej produkcyi beletrystycznej w Niemczech jest najnowsza 3-tomowa powieść Eckstein *Nero*. Obok Ebersa, Dahna i Eckstein głównie zalewa rynek literacki utworami na tle dziejów starożytnych osnutymi. Autor „Klaudyjczyków" i „Pruziasza" porwał się na temat potężny, opracowywany wielokrotnie w ostatniem dwudziestoleciu. Atoli Rubinsteina opera, Heniga dramat, Hamerlinga opowieść epiczna, które Nerona obrały sobie za bohatera, to utwory z głę-

*) To znaczy, że Riehl nie zna nowego zwrotu w etyce, który właśnie zajmuje się faktami. *Red.*

bi ducha poetyckiego płynące, podczas gdy *Nero* Eckstcina, to robota, rzeklibyśmy, fabryczna, maszyną na obstalunek dostarczana. Ani się nie śniło powieściopisarzowi niemieckiemu, dla wytłomaczenia zajmującej, bądź co bądź, indywidualności imperatora rzymskiego, oprzeć się o wyniki nauki nowoczesnej, źródła szaleństwa jego poszukiwać w dziedziczności, w przedwczesnem objęciu berła cesarskiego, w rozpuście fizycznej. Nero Eckstcina, to młodzieniec szlachetny, o dziewiczym uroku; zaślubiony z zimną Oktawią, nie zna namiętności, którą odczuwa dopiero w ramionach pięknej Aktei; a kiedy mu ją uwiedziono, poślubia Popeę Sabinę, opanowywującą go i uczącą rozkoszy okrucieństwa. Osnowę tę, która ani nie jest ściśle historyczną, ani o świetnej pomysłowości nie świadczy, okrasił Eckstein licznymi opisami, niemniej miernej wartości. Nie powinien był współzawodniczyć z Hamerlingiem w opisie pożaru Rzymu, skoro nie był pewnym, że go prześcignie. A niefortunniejszą jeszcze jest próba współzawodniczenia z Siemiradzkim w rozdziale p. t. „Pochodnie Nerona.“ Niesmacznemi zaś są zwroty, często w dyalogu pojawiające się, wzięte z dzisiejszej potocznej mowy niemieckiej. Mają one figurom starożytnym dodać życia, a czynią je dziwolągami.

Ladawa.

TEATR.

Hrabia René, komedya w 5 aktach Fryderyka Halma.

Piszący niegdyś pod pseudonimem Fryderyka Halma, autor *Szermierza z Rawenny*, zmarły w r. 1871, baron von Münch Bellinghausen dwadzieścia pięć lat temu ogłosił światu udramatyzowaną fantazyę psycho - erotyczną, ujętą w ramy średniowiecznego romansu. Dzieło to w lichem tłomaczeniu polskiem przedstawione zostało na scenie naszej, dnia 7 grudnia, ku uciesze publiki, którą zwykle prawda odstręcza, a cudowność upaja. Jesteśmy w Sabaudyi, przy końcu XIV-go wieku. Akcya dramatyczna, wlokąc się leniwo, zaczepia o losy trzech głównych postaci: René'go de Lomenie (który jest właściwie zamaskowaną pod względem płciowym, Renatą), jego matki, Adeli i stryjecznego brata, Gerarda. Nie będę tu rozwijał pełnej nadzwyczajnych powikłań, a godnej minstrela niemieckiego, osnowy. Niech nad naiwnym tajemnic feudalnych światem krzyż wiecznego stoi pokoju. Powiem tylko, że Adela de Lomenie, ulegając natchnieniu dumy i miłości macierzyńskiej, pragnie zapewnić swej córce tytuł hrabiego Domartin, i w tym celu płeć jej starannie męzką zasłania szatą, gdy los-psotnik nastręcza na urząd mistrza sztuki szermierskiej przy mniemanym synu — nienawistnego wdowic, hożego młodzieńca, prawego dóbr posiadacza, któremu wierni wasale ojcowski odzyskują zamek, a skrzydlatego Erosa orędownictwo zdobywa serce *nie wiedzącej o sobie* dziewicy. Echa trwogi, podstępu, zdrady i przemocy, huczące, niby grom daleki, nad głowami dwojga bohaterów, przy końcu piątego aktu głuchną zupełnie: cicha jutrzenka miłości małżeńskiej wschodzi, a widz przekonywa się, że w tych poczciwych murach kartonowych żadne nikomu nic groziło niebezpieczeństwo... Głównem, bodaj czy nie jedynem zadaniem sentymentalnego poety-psychologa było uplastycznienie przypuszczalnych sytuacyj, w jakich mogłaby się znajdować, podczas pierwszej burzy swego lata, urocza dziewoja, gdyby w nią wpojono przekonanie, że jest mężczyzną. Wyjątkowy pomysł — wyjątkowego tła potrzebuje. Nie odbiłby się on ani na gruncie klasycznym, ani na podścielisku czasów nowożytnych. Jeżeli sztuczna edukacya przez chciwość lub dumę rodową podyktowana, może zagłuszyć do czasu poczucie samowiedzy płciowej, to skreślony przez Halma, proces wyzwalania się natury spętanej właściwą znalazł dla siebie sferę. Tylko piętrzący się na skale pod niebo, a skąpo oświetlony zamek baroński, dokąd poetę zaprowadziły skrzepłe odgłosy śpiewu minnezyngerów, mógł być teatrem podobnej tragikomedyi. Stąd wszakże jeszcze nie wynika, by czynniki i warunki, w jakich się gra odbywa, zawsze były dostatecznymi dla odpowiednich rysów motywami. Autorowi zresztą mniej chodziło o konsekwencyę i prawdopodobieństwo logiczne całej sztuki, niż o subtelne wycieniowanie budzącej się i walczącej z narzuconem jarzmem, natury niewieściej. Więcej powiem: jaskrawy, drastyczny odblask płomienia, jaki serdecznym węzłem łączy „hrabiego René“ i Gerarda, owe dwa jednoimienne napozór bieguny — można by nazwać zenitową chwilą natchnienia Fryderyka Halma. Słusznie też nadał on swemu poematowi tytuł *Wildfeuer*. Bądź co bądź zarówno wrogi sentymentalizmowi duch czasu, jak temperament narodowy odstręcza nas od podobnych w literaturze niemieckiej zjawisk. Tą dysharmonią, rzecz dziwna, przejął się i sam tłomacz, co, naturalnie, wpłynąć musiało na spaczenie dzieła. W różnych miejscach zauważyłem kulawą rytmikę — niewiadomo, czyją ona jest zasługą; ale monotonna rymów częstochowskich kaskada i ciemna głębokość niektórych definicyj psychologicznych nie może być przypisana ani autorowi, ani wykonawcom. „Są czarodzieje (mówi Gérard), których się strzedz *trzeba, by w swem sumieniu nie sprzepaścić* (!) *nieba.*“ Gdzieindziej znowu „dziki płomień“ namiętności taką wyrzuca apostrofę z głębi ducha zamaskowanej bohaterki: „Mój Maurycy, jak ja kocham *ciebie*, wie tylko pan Bóg i anieli w *niebie*!“ Jeżeli rym w dziedzinie kunsztu poetyckiego nie jest bardzo szczęśliwym wynalazkiem, to nadużywane przez tłomacza końcówki najwymowniej nas o tej prawdzie przekonywają.

Wykonanie sceniczne *Hrabiego René* było dosyć staranne. P. Ładnowski (Gerard) nie umiał wprawdzie dobrze swej roli i prozodyę wiersza, rozmyślnie czy nie rozmyślnie, kaleczył; ale na stanowisku zachwyconego zagadką płciową badacza — główne przejścia psychiczne zręcznie uwydatniał i w chwilach patosu nie mało ze swej piersi strudzonej ognia wydobył; szkoda tylko, że jego wasale, nieposiadający widocznie jasnego o świecie feudalnym wyobrażenia, mieli postawę... kamerdynerów. P. Niewiarowska sumiennie się wywiązała ze swego zadania; chociaż nie mogła oddać wszystkich przymiotów, jakimi Adelę de Lomenie uwianował sam poeta. Główna bohaterka nakoniec (panna Wisnowska), największy na młodych ramionach dźwigała ciężar, niedając jednak poznać, ile ją to kosztuje. Ożywienie i uprawdopodobnienie postaci tak wyjątkowej, jak René de Lomenie, wzorowa dykcya, zacierająca zręcznie błędy wadliwego przekładu — oto osiągnięte przez nią rezultaty, które można uważać za owoc głębszych studyów, wspartych siłą niepospolitego talentu.

A. G. B.

POEZYA.

FATUM DO LYKOFRONA.

Ely — emu.

. . . .
Opuścił dłonie Lykofron i podniósł czoło,
W echo słów własnych wsłuchany, utkwiwszy oczy w przestrzeni,
Kędy na greckim błękicie
Gorzało słońce.
A przed nim płyta kamienna, gorąca jeszcze
Od rylca, którym ją zbróździł, zdała się nosić na sobie
Ślad piorunowy tej myśli,
Co mózg mu żarła,
Gdy nagle, w ciszy głębokiej, ten głos posłyszał:

—„Dajcie mi jeszcze tych dawnych, starych tytanów,
Co głazy w niebo ciskali i z pięścią szli przeciw bogom,
By wydrzeć z rąk Zeusowych
Ogień żywota!
Dajcie ich jeszcze! Niech walka krwawa a głucha
Wre podawnemu na ciosy między Olimpem a człekiem,
I niechaj żar nieśmiertelny
Rozpali piersi,
Które w zwątpieniu zastygły, jak piersi trupa.

Czemże są bowiem bogowie, jeśli nie kłamstwem,
Dla niewolników, co karki nędzne swe w jarzmo schylają
I małoduszne łzy leją
Zdala od czynu,
Niemoc swej duszy złożywszy i słabość swoją,
Która jedynym ich bogiem i pierwszym ducha tyranem,
Na jasne barki Zeusa,
Wszechistnień pana,
W śnie przed pociskiem piorunu szukając schrony?

Czemże i samo jest nawet Fatum wieczyste
Dla tych, co doli swej czarnej pod bicz podają grzbiet krwawy,
Nie uchylając od ciosu
Spodlonej głowy.
Jeśli nie własną słabością, tą nieśmiertelną
Od krain słońca zaporą i od krainy żywota,
Do których mocni się tylko
I dumni rodzą,
By prometejskie dziedzictwo piastować godnie?

Sam sobie życia nić przędzie każdy z żyjących.
Sam w sobie nosi swe losy, ktokolwiek rodzi się na świat.
A nie widziano przez wieki
Aby ten upadł,
Kto jasne życia ognisko w piersi rozpalił,
I przy najwyższem swem prawie, przy prawie życia stał silnie,
I tchnął płomieniem w błękity
I w ziemię wrastał,
A w czasów swoich przeczeniu nie żył ni chwili.

Bogowie nawet upadli, iż zbrakło siły,
Która nad nektar ambrozyi piersi do życia ukrzepia
I nieśmiertelność rozdziela
I im — i ludom.
I nigdy owa z Betlejem gwiazda czerwona,
I nigdy wielki cień krzyża, co padł na Olimp z Golgoty
Nie byłby strącił Zeusa
Z przeświętych włości,
Gdyby zwątpienia czerw jemu serca nie stoczył.

O, nie w girlandy różowe, nie w mgły srebrzyste
Rozwiał się Olimp wysoki i mocnych bogów plemiona,
Ale wśród gromów i trzasku
Runął w zwaliska,
By człowiek patrząc z przestrachem w pustą pierś wiecznych,
Z której wygryzion dzwon życia — życia bijący godziny,
O losy swoje, wśród drżenia,
Nie bogów pytał,
Lecz pytał serca własnego i własnej piersi.

Ja, co z zakrytem obliczem nad ziemią
[władam,
A nie zdejmuję zasłony, ani przed słońcem-
[rodzicem,
Ani przed nocą gwiaździstą
I wszechtworzącą,
Oczom twym daję widzenie zabłysku tajni.
Pojrzyj — a obacz, iż Fatum nie jest czem
[innem straszliwe,
Jak tylko wagą sił życia
I życia woli —
Nad przepaściami chwiejącą ludy i bogi."
. . . .
I upadł na twarz Lykofron, i Grecyi
[płakał.

Marya Konopnicka.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Index książek zakazanych przez kongregacyę świętą. Niewinni pod pręgierzem. — Do czego służy ta maszyna średniowieczna. — Pokorne owieczki.— Szczere pytanie. — Prezent M. Wołodyjowskiego ofiarowany H. Sienkiewiczowi. — Głos w imieniu nędzy o tym darze. — *Mater dolorosa.* — Punkt Archimedesowy czyli *monstre*-bal jako środek rozwiązania zagadek naszego bytu.

Leon XIII, który, jak wiadomo, chęciami i czynami pracuje nad podniesieniem cywilizacyi, kazał „kongregacyi świętej" wydać *Index librorum pohibitorum* — 437-stronicowy wykaz książek przez nią zakazanych. Jest to wyciąg, jak gdyby olejek wielowiekowej mądrości i tolerancyi papiestwa. Kiedyś niezawodnie kupię sobie całą jego amforę, dziś poprzestaję na tych tylko kroplach, które z niej ulał *Warsz. Dniewnik* i *Kuryer codzienny.* Jakich tedy dzieł „kongregacya święta" prawomyślnemu katolikowi czytać nie pozwala?

Największemu dostojnikowi literatury naszej we wzmiance tej należy się pierwsze miejsce. Pod pręgierzem więc stoi Mickiewicz i trzyma wyklęte: *L'église officiele et le messianisme* oraz *L'église et le messie.* Opiętnowano go 15 maja 1848 r. (Zdaje mi się, że polskich jego utworów nie czytano, bo... Ale nie budźmy licha!). Że ten los spotkał, jeszcze na soborze trydenckim Mikołaja Radziwiłła, kalwina, temu się nie dziwię; ale za co wsadzono na *Index* W. A. Maciejowskiego z *Pamiętnikami o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa słowian?* W takim razie ja, o którym tyle strasznych raportów zdał *Przegląd katolicki* (zapewne prenumerowany w Watykanie), powinienbym w owej czarnej księdze być odznaczony osobnym, czerwonym drukiem. Jeszcze większe zdumienie ogarnia nas wobec umieszczonego pomiędzy potępionymi Schweglera, którego *Historyę filozofii* tłomaczył przecie ksiądz i którego grzeszność już przez to samo jest zagadkową, że go wogóle zrozumieć trudno. Nie bądźmy jednak wymagający. Stosunkowo do innych z literaturą polską obszedł się *Index* łagodnie. Mógłże przecie wykląć Reja, Kochanowskiego, Asnyka, Konopnicką, Orzeszkowę, a wreszcie — ściśle biorąc — wszystkich, z wyjątkiem pp. A. Niemirowskiego, Godlewskiego, ks. Chełmickiego, Polikratesa, Borkowskiej i niewielu innych. Może nas od sromoty uwolniły dywany jubileuszowe i świętopietrze, a może poprostu sam język nieznany członkom „kongregacyi świętej."

Łatwiej ona poradzić sobie może z francuskim, niemieckim, włoskim i angielskim. Tu też pioruny spadły obficie. Ugodzeni nimi: Draper (zasłużył!), Gregorovius, Figuier, Jacolliot, Renan, Montegazza, Michelet, Ranke, Milton (arcypobożny!), Strauss, Flaubert, Balzac, G. Sand, W. Hugo, nawet Taine za *Historyę literatury angielskiej* i Mill za *Ekonomię polityczną.* Niejeden z was, czytając którąkolwiek z tych książek, mówiących np. o bankach lub tragedyach Shakespeare'a, ani przypuszczał, że gubi duszę. Ale cóż robić, kiedy bez zgubienia oświecić jej nie można. Już same te nazwiska wskazują, że Watykan pragnąłby odciąć swe owieczki od mistrzów największych, przypuszczam zaś, że na 437 stronicach pomieścił tylu grzeszników, iż na dobrą sprawę, chcąc mu dogodzić, należałoby wyrzec się i deskami zabić $^3/_4$ literatury świata ucywilizowanego. Jest to wymaganie nieco za duże. A jeżeli mu uledz trudno, jeżeli nawet najpokorniejsi rozmaitemi „dyspensami" otwierają sobie furtkę do zaglądania w tę krainę zakazaną i zrywania owoców z drzewa wiadomości, po co istnieje owa „kongregacya święta," a nadewszystko, po co na widok publiczny wystawia swój *Index?* Czy po to, ażeby w umysłach ludzkich nie zatarło się poczucie tej przepaści, która dzieli średnie wieki, pokutujące w Watykanie, od nowszych, żyjących po za jego murami? Nawet my, zaliczeni i zaliczający się do najposłuszniejszych dzieci papieskich, czyż pamiętamy o *Indexie?* Według *Warsz. Dniewnika,* lwowska *Gazeta narodowa,* mówiąc o tej czarnej księdze, zastrzegła, że „nie wdaje się ani jednem słowem w jakiekolwiek komentowanie wyroków kongregacyi świętej." Zastrzeżenie to spotkałem również w innem piśmie. Pozornie wygląda ono na korną uległość. Ale czy rzeczywiście, począwszy od współpracowników *Gazety narodowej* aż do — gdzie chcecie sięgnąć? — aż do pani Borkowskiej, p. Lewenthala i ks. Chełmickiego, żadna z tych dusz pobożnych nie dotknęła nigdy ponęty papierowej, przez *Index* zakazanej? Przepraszam to szanowne grono i wszystkich, których do niego dostawić można, ale nie uwierzyłbym najuroczystszym zapewnieniom, że tak jest. Jeżeli zaś ktokolwiek objawia tu nadmierną poddańczość, to tylko przekonywa, że ma jakiś bardzo ważny powód do obłudy. Wogóle zaś redaktorzy pism prawomyślnych, którzy daleko bardziej boją się gniewu swych abonentów, niż wszystkich wyroków „kongregacyi świętej," przypuszczają zbyt wielką różnicę umysłową między sobą a tymi, którzy ich słuchają. Sądzą oni, że gdyby się odważyli na taki „komentarz": wyklęcie Voltaire'a, Straussa, Renana ma ze stanowiska papieskiego sens; ale wyklęcie Taine'a, Milla lub biednego Schweglera niema sensu — wtedy z pomiędzy czytelników gazety odbiegłoby 2,000 oburzonych takiem bluźnierstwem i postarałoby się o wniesienie jej na *Index.* Jest to naprzód strach daremny, a powtóre lekceważenie inteligencyi ogółu wykształconego. Spróbujmy na chwilę nie kłamać i powiedzmy sobie szczerze: kogo tam dziś ów *Index* obchodzi? Ci, co o nim wiedzą, nie słuchają go, ci zaś, co by go słuchali, nie wiedzą o nim. Cały ów pręgierz istnieje właściwie tylko po to, ażeby pod nim stali ci, którzy go utrzymują.

Dla zasilenia funduszów na przybytek dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych kilku malarzów urządziło w Teatrze wielkim widowisko z obrazów niknących, przedstawiających życie Warszawy. Rolę tasiemki, wsnuwanej do ust figurom rebusowym i objaśniającej rysunek słowami, odegrał p. Gawalewicz, który tłomaczył widzom znaczenie rzucanych na zasłonę cieniów. Nie spełniły się jeszcze wszystkie warunki, których potrzebuję dla odczucia potrzeby odwiedzenia teatru: sprawozdawcy nie wyzwali się na śmiertelny pojedynek i nie poprzebijali się stalówkami, gęsi kapitolińskie nie narobiły wrzawy, magowie tradycyi nie ogłosili, że jeżeli przedstawienie będzie ponawianem, wszystko się na świecie zwali od wieży Eiffla w Paryżu, aż do wieży ciśnień na Koszykach warszawskich. Ponieważ zaś po obrazach niknących nic podobnego nie stało się i nie przepowiedziano, ponieważ odmienne zdania dwu *Kuryerów,* z których jeden zawołał: *brawo* i wymienił między widzami p. Piltza, drugi zaś szepnął: *owarb* i nie wspomniał nawet o p. Piltzu, wytłomaczyłem sobie zwykłą rozterką między rodzonymi braćmi, przeto nie poszedłem do teatru i polegać muszę na sądach cudzych. Większość ich twierdzi, że była to apoteoza pomysłów *Kuryera świątecznego, Muchy* i *Kolców* z pewnymi dodatkami, które nie zawsze wypadły szczęśliwie. Tak np. karykatura umierającego Zygmunta Augusta z obrazu Matejki zbudziła niesmak. Aż dziwno, że twórcy widowiska wrażenia tego nie przewidzieli. Wprawdzie najliczniejsza, a przynajmniej najgłówniejsza u nas sekta malarska, wypiera się wszelkiego pokrewieństwa swej sztuki z „literaturą" i zważa tylko na pędzlowanie, ale taka odrobina odszczepieństwa literackiego nie zaszkodziłaby wyznaniu. Gdyby umierający Zygmunt August nie był pokazany w parodyi, obrazy niknące nie straciłyby ilościowo, a zyskały jakościowo. Nie każdy tylko pędzluje, daleko więcej jest ludzi, którzy ważą i oceniają motywy literackie w malarstwie, których przeto ośmieszanie wielkiej postaci historycznej i to w chwili zgonu razić musi.

Utwory Sienkiewicza czczone już były: w sprawozdaniach, odczytach, teatrach, cyrkach, rysunkach, obrazach; zdawało się, że skala odznaczeń już się dla nich wyczerpała. Tymczasem zaszczycone zostały nową i nieprzewidzianą ofiarą: ktoś przysłał autorowi bezimiennie 15,000 rs. z kartką: „Michał Wołodyjowski H. Sienkiewiczowi." Wątpię bardzo, czy „mały rycerz," zdradzający wielką wrażliwość honorową, nie „ruszyłby wąsikami" na taką formę okazanej w jego imieniu wdzięczności, zwłaszcza że na nią był za biedny. Ale o to niech się autor sam rozprawi ze swym bohaterem. My zastanówmy się nad społecznie znamienną stroną tego faktu. Jest zwyczajem u wszystkich narodów cywilizowanych obdarzać pieniędzmi ludzi zasłużonych: nagrodę taką otrzymał Gambetta, niedawno Richter, a obecnie Rieger. Prawie zawsze jednak są to ludzie niezamożni, wiekowi, z siłami w pracy publicznej starganemi, albo też czynni, a w zasobach swoich własnych tak ograniczeni, że nie mogą podołać zadaniu w mierze pożądanej. Społeczeństwo tedy daje im zasłużoną emeryturę lub środki do działalności dalszej, z której ciągnie korzyści. Przedewszystkiem zaś społeczeństwo to waży swoje potrzeby ogólne i bada, czy którakolwiek z nich nie wymaga jego opieki i hojności. Cóż u nas się dzieje? Sienkiewicz jest pisarzem bardzo utalentowanym, ale znajduje się w sile wieku, a nadto — jeśli mamy wierzyć giełdzie wydawniczej — utwory jego doszły do ceny nieznanej w Europie, przynoszą mu więc pański dochód, który go od losu Klonowicza, Syrokomli a nawet Mickiewicza niewątpliwie ubezpiecza. I temu szczęśliwcowi ktoś rzuca 15,000 rs. od „Michała Wołodyjowskiego"! Trudno uwierzyć! Donieśmy tę radosną nowinę czechom — niech się wstydzą. O skąpcy, tylko 100,000 złr. ofiarowali Riegerowi za 40 lat wiernej służby, ciężkiej pracy i poświęceń dla narodu! A ileż on jeszcze z tej sumy oddać musi. Tymczasem my za bitnego bohatera płacimy 15,000 rs. Ale bo też my nie jesteśmy społeczeństwem, zapalającem się do wielkich idej i ich apostołów, ale społeczeństwem miłośników sztuki. Łatwiej zdobędziemy się na ozłocenie kilku artystów, niż na uratowanie z niedoli miliona biedaków.

Uwagami mojemi nie mam zamiaru nawet ubocznie zadrasnąć p. Sienkiewicza. Nie on winien, że go objęto skrzydłem dobroczynności, a skoro jej dar, „niezgodny ani z jego usposobieniem, ani z fantazyą"(?), złożył w Towarzystwie kred. ziems., oczekując objaśnień od bezimiennego wielbiciela, tem samem zaprotestował przeciwko jego intencyi.

A jeżeli biedny marzycielu chcesz od naszej filantropii wydostać nie tysiące, ale setki lub dziesiątki rubli na to, co tylko miłosierdziem dźwignięte być może, musisz sam lub z innymi przed nią zatańczyć, a co najmniej pawi ogon jakiegoś rautu rozpostrzeć. Innej rady niema. Jak ów szlachcic wołał, trzymając się za boki od śmiechu: „tańcz żydzie, dostaniesz dukata, tańcz, dam dwa, trzy, dziesięć“ — tak pełna kieszeń woła dziś do pustej. Potrzeba pieniędzy dla biednych, ciemnych, nieuleczalnych, siostra miłosierdzia wdziewa kosztowną suknię i puszcza się w pląsy ze skarbonką w ręku. Wtedy serca topnieją rozczulone i wrzucają kwestarce mniejsze i większe datki. Ktoś miał pewną ideę, wymagającą znacznych środków. Obradując nad nią z przyjaciołmi, dochodził zawsze do jednego wniosku: gdyby można było urządzić zabawę, na którą by przyszło 40,000 ludzi! Odtąd zatapia się ciągle w najrozmaitszych pomysłach balowo-rautowych i naturalnie nie wynajdzie pożądanego rozwiązania. A mimo to punkt wyjścia jego rozumowań jest słuszny. Archimedes szukał punktu dla oparcia na nim dźwigni do wyważenia ziemi. Nasz Archimedes szuka balu. Dajcie mi jeden — woła on — taki, o jakim marzę, a ja... Nie śmiem powtórzyć, co ten człowiek przyrzeka — prawie ziemię obiecaną. Twierdzi, że poradziłby sobie i z armią niemiecką, i... Ale po co mam drażnić czytelników jego rojeniami, kiedy nigdy ich nie sprawdzi, bo takiego balu, ani rautu nie wymyśli.

P. Sienkiewicz oświadcza, że nieprzyjęte przez niego 15,000 rs. spoczywać będą w depozycie przez lat trzy, a jeśli nie zostaną odebrane, on nim rozporządzi według własnego uznania. Ach, gdyby on lub jego wielbiciel użył tych pieniędzy na wielki, olbrzymi *monstre*-bal! Przyniósłby on dochodu z milion rubli — a wtedy!

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ofiara. Jeden z abonentów naszych, któremu biedni i instytucye tutejsze zawdzięczają bardzo poważne datki, uwiadamia nas, że przesłał za pośrednictwem warszawskiego oddziału Banku państwa do Muzeum popierania przemysłu i handlu dwie sumy: jedną dla Szkoły rzemiosł, drugą dla kolonii poprawczej dziewczyn w Studzieńcu.

Język ruski z d. 1 stycznia ma być wprowadzony w stosunkach wewnętrznych zarządu kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej. Również w tym języku będą prowadzone wszystkie rozporządzenia wychodzące na linię, tudzież wszystkie okólniki. Rozporządzenia, tyczące się służby niższej, tłomaczone będą na język polski, konduktorzy zaś i nadkonduktorzy będą musieli oznajmiać nazwiska stacyj i czas postoju w językach ruskim i polskim. Szwajcarzy obowiązani będą dawać objaśnienia w obu językach.

Wystawa paryska. Warszawski komitet wystawy powszechnej w Paryżu 1889 r. zawiadamia osoby interesowane, że na mocy porozumienia się z przedstawicielami biura głównego (w Petersburgu wystawców ruskich na pomienionej wystawie, upoważniony został do wyłącznego pośrednictwa w sprawie dotyczącej udziału wystawców Królestwa Polskiego. Wszelkie więc szczegóły ze źródeł urzędowych francuskich, dotyczące szczegółowych planów oddziału, cen miejsc, warunków przesyłki i pomieszczenia wysyłanych okazów, sporządzanie deklaracyj, pobieranie opłat, będą uskuteczniane tylko przez pośrednictwo biura warszawskiego komitetu wystawy paryskiej (Muzeum przemysłu i rolnictwa, Krakowskie Przedmieście).

Koleje żelazne, wolne dotąd od podatku handlowego, tracą ten przywilej. Od nowego roku zarządy oraz cała służba kolejowa ponosić będą wszystkie opłaty handlowe z podatkiem 3% włącznie. Dla urzędników zarządy nabywać będą bilety 1-go i 2-go stopnia w stosunku do pensyi przez nich pobieranej.

— Ministeryum dróg i komunikacyi przystąpiło do opracowania przepisów, które zobowiążą: 1) niezabraniać podróżnym wchodzić do wagonów bez biletów, 2) znieść przepis nakazujący aresztowanie osoby znalezionej w pociągu bez biletu; 3) zabronić służbie kolejowej niegrzecznego zachowania się z nieposiadającymi biletów; 4) wydawać takim osobom w samym pociągu bilety, które powinni mieć zawsze nadkonduktorowie. Przepisy te obowiązywać będą jednakowo koleje prywatne i rządowe.

Dla drobnego przemysłu włościańskiego podniesiono myśl założenia banków w kilku miejscowościach Cesarstwa.

Izby ratunkowe. Projekt p. oberpolicmajstra otwarcia przy kancelaryach cyrkułowych izb ratunkowych dla osób osłabłych lub ranionych na ulicy, uzyskał zatwierdzenie rady miejskiej. Nadzór nad temi izbami powierzono niższym żołnierzom policyi, obeznanym z czynnościami felczerskiemi. Przytułki owe zaopatrzono w apteczki przenośne i lektyki.

Reforma. Komitety rękodzieł i handlu, istniejące w główniejszych miastach, ulegną reformie w kierunku rozszerzenia ich zakresu. Nadto liczba członków będzie podwojona.

Sprawy handlowe. Oprócz raportu inspektorów podatkowych w handlu zbożowym, ministeryum skarbu zażądało od komitetu giełdowego telegraficznych wiadomości o cenach zboża na rynku warszawskim. Raporty podawane będą co tydzień.

— *Petersb. Wied.* donoszą, iż istnieje projekt poczynienia ważnych zmian i uzupełnień w przepisach o podatku handlowym i przemysłowym. Istniejący podział handlujących na hurtowych, detalicznych i drobnych będzie zmieniony. W podziale świadectw handlowych zajdą różne zmiany i uzupełnienia.

W Poznaniu nowy przedsiębiorca teatru niemieckiego p. Winter (dzierżawca teatru polskiego), jest zupełnie zrujnowany wraz ze swymi 80 pomocnikami, głównie dlatego, że władza zakazała urzędnikom i oficerom uczęszczać na operę niemiecką, ponieważ mieści się w gmachu teatru polskiego. Dzienniki niemieckie są oburzone nie na przyczynę prześladowania gmachu polskiego, ale na to, że zawczasu nie przestrzeżono dyrektora niemca.

Pierwsza komunikacya telefoniczna podwodna została zaprowadzona z Buenos-Ayres do Montewideo i działa o wiele lepiej, niż większa część takich komunikacyj lądowych.

Zmowa zecerów wybuchła w Wiedniu. W 17 drukarniach roboty zawieszono z powodu nowej taryfy płacy. Do zmowy przyłączyło się około 1,400 zecerów. Między właścicielami drukarń a strejkującymi toczą się układy.

Nowe obserwatoryum meteorologiczne urządzono na rozkaz sułtana w Yildiz-Kiosku w Konstantynopolu i zaopatrzono w najlepsze i najświeższe narzędzia.

Służebności. Stosunki włościan do lasów, obciążonych służebnościami, w większej części już uregulowano w gub. płockiej i warszawskiej. Najmniej takich umów zawarto w gub. kieleckiej.

Rewizye sanitarne. Komisya, składająca się z delegatów magistratu kancelaryi p. oberpolicmajstra, starszych cechów, lekarzy miejskich, komisarzy cyrkułowych i zaproszonych obywateli, dopełni szczegółowych rewizyj zakładów fabrycznych i przemysłowych. Zrewiduje lokale fabryczne i warsztaty rzemieślnicze pod względem sanitarnym i bezpieczeństwa ogniowego, zwróci uwagę na położenie terminatorów i praktykantów, oraz stwierdzi, czy umowy pomiędzy majstrami a rodzicami lub opiekunami uczniów są zawierane na podstawie obowiązujących przepisów. Komisya rozpocznie swoje czynności z początkiem roku przyszłego. Ostatnie takie rewizye odbywały się przed sześciu laty.

W Łodzi jest projekt urządzenia wielkiej wystawy tkackiej — W temże mieście groźny pożar nawiedził fabrykę Poznańskiego. Spłonęła przędzalnia z 600 wrzecionami mechanicznemi.

Nowe pismo humorystyczne p. t. *Trefniś* ukaże się wkrótce we Lwowie.

Ze Lwowa donoszą, iż na pierwszym zjeździe prawników i ekonomistów w r. 1887 postanowiono następne zebranie odbyć za dwa lata we Lwowie. Stosownie do tej uchwały tamtejsze Towarzystwo prawnicze wybrało specyalną komisyę do czynności przygotowawczych.

Wystawa rybacka w Petersburgu otwarta będzie w lutym r. p.

W Paryżu powstaje biblioteka, złożona z dzieł wyłącznie przez kobiety napisanych. Obowiązki bibliotekarki będzie spełniać polka, p. Anna Wolska.

Przemysł. W Petersburgu czynnych jest 260 fabryk żelaznych i zakładów przemysłowych z kapitałem obrotowym 35 mil. rs.

Dla dzieci wydała znowu księgarnia Gebethnera i Wolffa książkę F. H. Burnetta, p. t. *Mały lord*, w przekładzie M. Zaleskiej — z ilustracyami.

Bibliografia. Tegoroczny *Gość*, znany kalendarz Promyka (dla ludu), zawiera wiązankę wskazówek praktycznych i odpowiedzi.

— M. Rodziewiczówna, *Dewajtis*, powieść. Warszawa, *Kuryer warsz.*

Zmarli. Jan Kassyanowicz, pedagog i przyrodnik. Zasilał pisma specyalne i ułożył piękny zbiór owadów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Mr. Pol. Ponieważ pisownia i wymawianie języka angielskiego znajdują się w stosunku dziwacznym i niemal (jak powiada Tylor) bezprawidłowym, więc dla innych narodów pozostają tylko dwa sposoby przy wymienianiu nazwisk: albo trzymać się pisowni, albo wymawiania. Pierwszy, naszem zdaniem, lepszy, bo chociaż nie objaśnia czytelników o brzmieniu wyrazu, pozwala im przynajmniej go rozpoznać. Gdyby wydrukowano: *uajczepel* — kto, nieumiejący po angielsku, domyśli się, że to jest *whitechapel*?

Henrykowi z Kopijówki. Ani rymu, ani rytmu, ani wszystkich rzeczy, które poezyi są.

P. Lub. W naszem archiwum redakcyjnem posiadamy już dwa przekłady tego utworu, który drukowanym być nie może.

H. E. zajęty rozprawą doktorską, K. chory, L. zaspakaja dziś tęsknotę Pańską. Co do K. — przecie chyba nie „wyłącznie.“

P. K. Sp. Dziennika liberalnego w Warszawie niema. Najczęściej tą barwą się mieni *Kuryer codzienny*.

W. W. Może i reklama, ale sam domysł jest niewystarczającym gwoździem dla przybicia jej publicznie.

A. B. C. Forma ostatniego dobra, ale... Więc sprobujemy.

Prenumeratorowi. Wymawiania nie nauczy żadna książka, tylko żywe słowo. Niech Pan zażąda katalogów czytelni i sam zbada. Skądże my wiedzieć możemy?

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W numerze poprzednim na str. 586 wiersz 1 ostatniej zwrotki „Rymów“ brzmieć powinien: „Tak ową bańkę *blaskami* zdobną.“

NA GWIAZDKĘ.

Najnowsze wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Królestwo zwierząt. Historya naturalna dla młodego wieku *H. Leutemana*, zawierająca na 48 tablicach 263 rycin chromolitografowanych z tekstem polskim, objaśniającym *Adolfa Dygasińskiego*. W pięknej chromolitografowanej okładce. W oprawie rs. 2 k. 40.

Wilcze gniazdo. Powieść z czasów krzyżackich, p. *Z. Morawską*, dla młodzieży dorastającej, z 5 rycinami *St. Witkiewicza*. Kart. rs. 1, w ozdobnej oprawie rs. 1 k. 60.

Wyprawa po skarby ukryte wśród puszczy. Przygody podróżników w Australii. Wolny przekład z francuskiego przez *M. I. Zaleską*. Z 5 rycinami. W oprawie karton. rs. 1 k. 20, w ozdobnej opr. płóciennej rs. 1 k. 80.

Gucio zaczarowany. Powieść dla młodszej dziatwy z 10-ma rycinami kolorowanemi i ozdobną okładką rysunku *Cz. Jankowskiego*. Wydanie 2-gie. W oprawie kartonowej rs. 1 k. 20.

Lelum-Polelum. Powieść historyczna dla młodzieży, przez autora „Bitwy pod Raszynem"; z 6 rycinami *Łuskiny*. Karton. rs. 1 k. 20, w ozd. opr. rs. 1 k. 70.

Niezgodni królewicze i Królowa perłowego pałacu. Bajki prawdą przeplatane, opowiedziała dziatwie *M. I. Zaleska*. Z 5 rycinami chromolitografowanemi i ozdobną okładką rysunku *M. Kotarbińskiego*. Cena rs. 1 k. 20.

Myszy króla Popiela. Opowiadanie historyczne przez autora „Króla Kraka." Z 6 rycinami w opr. karton. rs. 1 k. 20, w opr. płóc. rs. 1 k. 80.

Przyjaciele dzieci p. *Jana Chęcińskiego*, w obrazkach, dla drobnej dziatwy, z 16 kolorowanemi tablicami rysunku *X. Pilatiego*. W opr. kart. rs. 1 k. 20.

Dwie siostry, p. *M. I. Zaleską*. Opowiadanie z życia młodych dziewcząt. Broszur. rs. 1 k. 80, w ozdob. opr. płóciennnj rs. 2 k. 40.

Młody wygnaniec. Przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich, przełożyła z Ryszarda Rotha *M. I. Zaleska*. Z 8 rysunkami *St. Wolskiego* i ozdobną okładką. Cena karton. rs. 1 k. 50, w oprawie płóc. ozdobnej rs. 2.

Z lat minionych. Trzy powieści historyczne dla młodzieży p. *Teresę Jadwigę*. — TREŚĆ: Moja pieszczotka. — Rycerz błękitny. — Krwawe chwile. Z rycinami. W opr. karton. rs. 1 k. 20, w ozdobnej płóc. opr. rs. 1 k. 80.

Wizerunki książąt i królów polskich. *J. I. Kraszewskiego*, z 39 rycin. *X. Pilatiego* oraz inicyałami *Czesława Jankowskiego*. Cena rs. 6, w ozdobnej oprawie rs. 7 k. 50, z brzegami złoconymi rs. 8.

„Pan Tadeusz" Adama Mickiewicza. W pięknem miniaturowem wydaniu z portretem Mickiewicza (staloryt), w ozdobnej francuskiej oprawie ze złoconymi brzeg. rs. 2.

Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki d-ra *Piotra Chmielowskiego*, 2 duże tomy rs. 5, w ozdob. opr. rs. 6 k. 60.

Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno literacki d ra *Piotra Chmielowskiego*, rs. 3, w ozdobnej opr. rs. 4.

Mały Lord. Powieść dla młodzieży *Frances Hodgson Burnetta*, przełożyła *M. I. Zaleska*. Z 6 rycinami. W opr. kart. rs. 1 k. 20, w ozd. opr. płóc. rs. 1 k. 70.

Bajeczki prawdziwe, opowiedziane dziatwie przez *M. I. Zaleską*, z 6 obrazkami kolor. *Illinicza*. Cena z chromolitogr. okładką rs. 1 k. 20.

Polacy w Hiszpanii. 1808—1812, przez *Zygmunta Lucyana Sulimę*, rs. 2.

Katalogi gratis i franco.

Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

GEBETHNER I WOLFF

Największy wybór Fortepianów

BLÜTHNER, MAŁECKI.



Sprzedaż na raty.

Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

Herbatę z kwiatem

począwszy od dwurublowej, a czarną od rs. 1 kop. 50, w wybornych gatunkach

poleca

SKŁAD M. MUSZKATA, SENATORSKA Nr. 22.

„Les dernières Cartouches"

Wyłączna sprzedaż Paryskiej bibułki do papierosów **„Les dernières Cartouches"** uznanej w analizie porównawczej **Chem. Laborat. Cesar. Warsz. Uniwersytetu za najlepszą** powierzyliśmy p. Ludwikowi Silberlast, Warszawa Karmelicka Nr. 9.

Ponieważ wielu warszawskich fabrykantów gilz do wyrobu papierosów swoich używa lichą bibułkę i takową jako **„Les dernières Cartouches"** sprzedaje, przez co publiczność niejednokrotnie bywa **w błąd wprowadzaną i wyzyskiwaną**, zwracamy więc niniejszem uwagę, iż **oryginalną** jest tylko bibułka opatrzona suchymi wyciskami **„Les dernières Cartouches"** co jest widocznem tak na książkach **naszej firmy**, jak i na gilzach z naszej bibułki wyrabianych.

Braunstein Fréres Paris.

Najnowsze wydawnictwo

GEBETHNERA i WOLFFA.

Wyszedł z pod prasy

pierwszy zeszyt dzieła **Adolfa Dygasińskiego**

p. t.:

Jak się uczyć i jak uczyć innych.

Praca ta wskazuje jak się uczyć należy bez nauczyciela i jest niejako wstępem do całego szeregu podręczników, które w dalszym ciągu wydać zamierzamy.

Podręczniki obejmą całokształt wiedzy ludzkiej, a mianowicie: gramatykę, stylistykę, historyę literatury, geografię, historyę powszechną ze szczególnem uwzględnieniem narodów słowiańskich, historyę cywilizacyi i sztuki, językoznawstwo, przyrodoznawstwo itp.

Każdy zeszyt wydawnictwa kosztuje w Warszawie **kop. 10.** na prowincyi kop. 12.

Przesyłający za dziesięć zeszytów z góry, otrzymuje takowe franco.

Zeszyty ukazywać się będą mniej więcej w odstępach tygodniowych.

Pierwsza praca Adolfa Dygasińskiego zamkniętą zostanie w zeszytach dziesięciu.

NOWA SZKOŁA RZEMIOSŁ DLA KOBIET

A. Korycińskiej

w WARSZAWIE, TRĘBACKA Nr. 2.

Przyjmują się uczennice na Krój sukień, bielizny i szycie, Stroje, Koronkarstwo, Pończosznictwo, Haft, Rękawicznictwo, Krawaty męzkie, Szewctwo, Rysunki w zastosowaniu do rzemiosł, Litografia, Metaloryctwo, Heliominiatury, Retuszerya, Malowanie na porcelanie i atłasie, Wypalanie rysunków na drzewie i skórze, Tokarstwo, Pozłotnictwo, Koszykarstwo, Introligatorstwo domowe.

Po zupełnem ukończeniu kursów wydawane będą patenta.

PENSYONARKI PRZYJMUJĄ SIĘ.

Czytelnia dla kobiet

stale zaopatrywana w nowości treści naukowej i wybór dzieł beletrystycznych oraz w pisma periodyczne zagraniczne i krajowe, mieści się

na Krakowskiem-Przedmieściu Nr. 7.

Abonament miesięczny na książki:

w dwóch językach	kop. 40,
w trzech językach	kop. 50,
w czterech językach	kop. 60,
w pięciu językach	kop. 70.

Kaucya po rublu od książki.

Osoby, opłacające abonament, nic nie płacą za czytanie pism na miejscu.

Wejście jednorazowe

kop. 5. 10—7

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH.

Nagrodzone listem pochwalnym i medalami na Warszawskiej, Krakowskiej i Lwowskiej Wystawach Hygieniczno-Lekarskich, koncesyonowane przez Władze Lekarskie

Ekstrakt i Karmelki „Leliwa,"

przygotowywane podług wskazań Lekarzy i Chemików, pewniejsze i o 50 procent tańsze od zagranicznych; flaszka ekstraktu miodowo-ziołowo-słodowego kop. 75, tegoż ekstraktu z dodaniem chiny lub żelaza i chiny rs. 1, paczka karmelków kop. 15. Sprzedaż w Aptekach i Składach aptecznych w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie. Główny skład **w Warszawie** w Składzie aptecznym Mrozowskiego i Spiessa, w Odesie u Gajewskiego, w Astrachaniu u Kerna, w Tyflisie u Ajwazowa, w Baku u Czyszkowskiego, w Moskwie u Mattejsena. 6—4

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Декабря 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.